

8

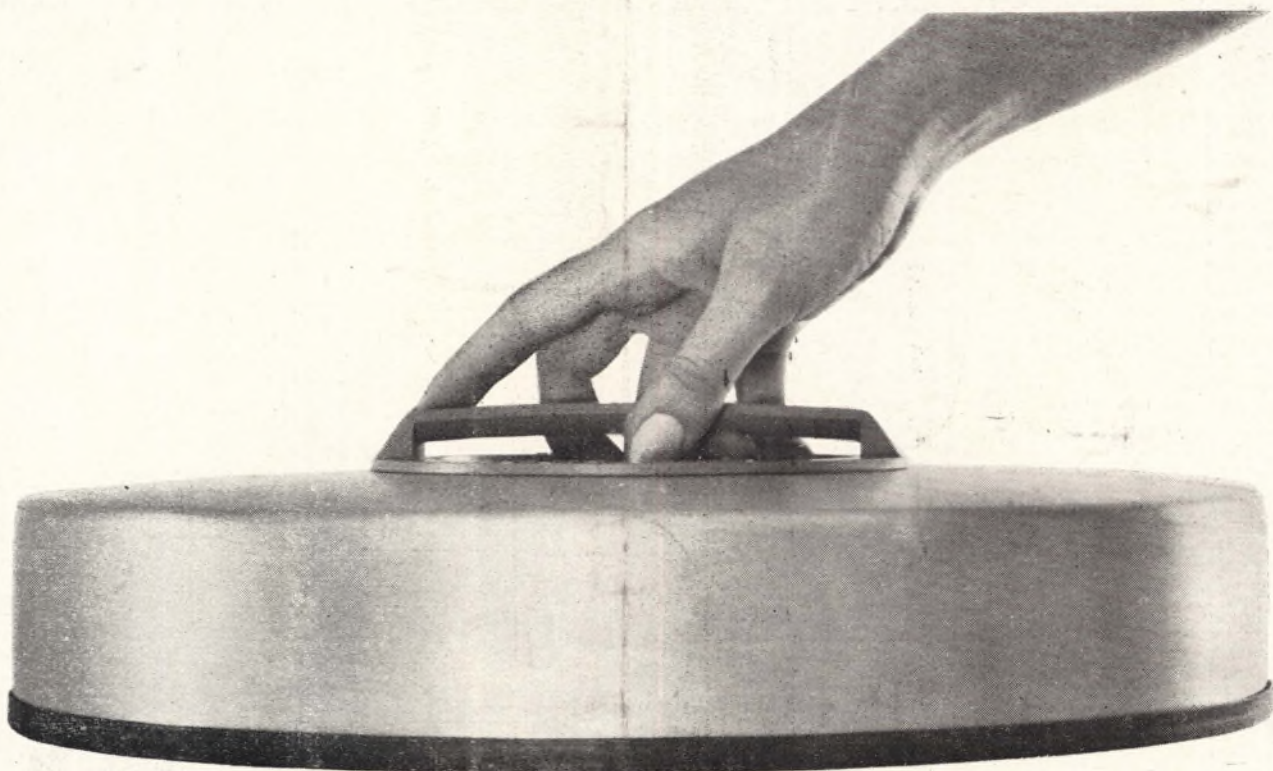
FOLHA POLONÊSA

PRZEGŁAD POLSKI

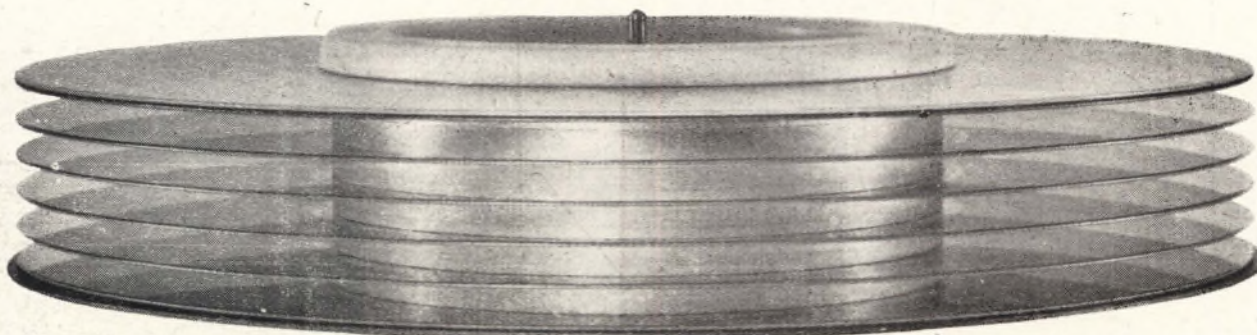
REVISTA
POLONÊSA

33

Ano IV Setembro 1963



EQUIVALENTE A 25.000 CARTÕES PERFURADOS



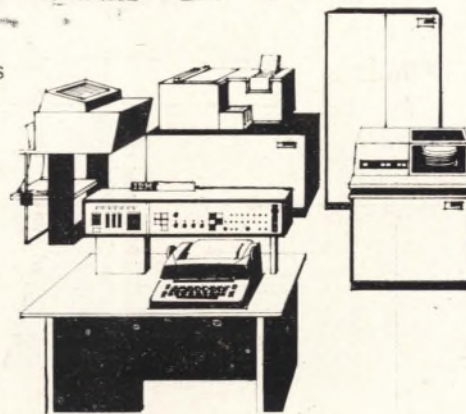
Isto é uma memória removível de discos.

Tem o volume de uma pequena pilha de discos de vitrola, mas é equivalente a 25.000 cartões perfurados, com capacidade de armazenar até 2.980.000 caracteres de informação.

A memória removível de discos foi lançada com o **NÓVO IBM 1440**, um computador de baixo custo, ao alcance das indústrias de pequeno porte... Realiza a mesma tarefa básica dos grandes computadores e dá respostas administrativas em questão de segundos.

Pesando menos de cinco quilos e contendo, cada uma, seis discos magnéticos, as memórias do **NÓVO IBM 1440** são intercambiáveis e podem ser trocadas facilmente, em apenas 50 segundos. Isto significa armazenamento ilimitado de informações.

Será o **NÓVO IBM 1440** o seu primeiro computador? É muito provável que sim.

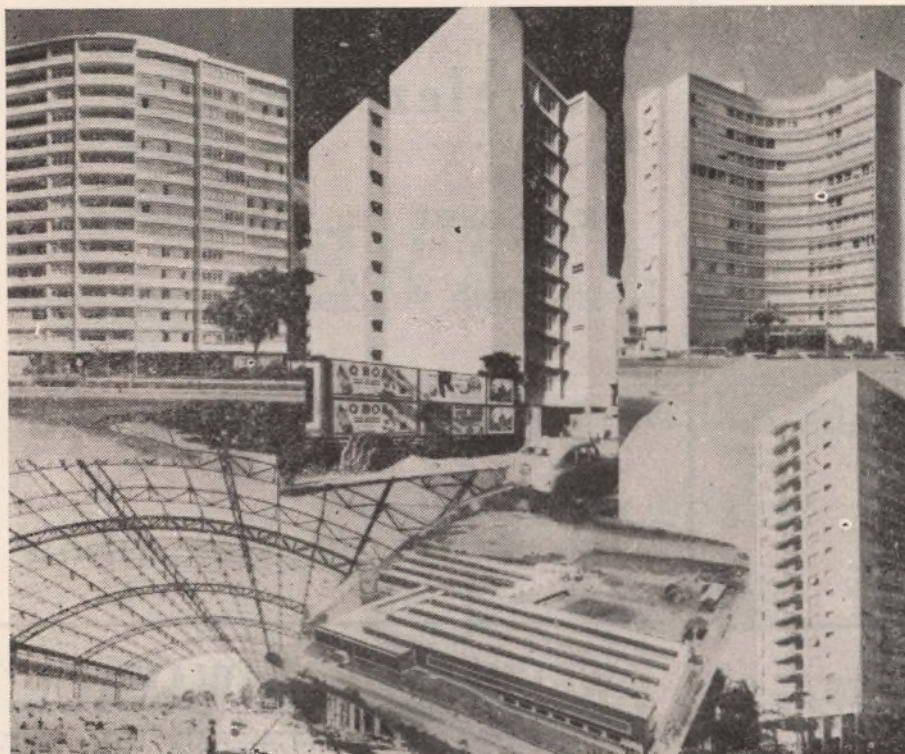


IBM1440
IBM DO BRASIL LTDA.

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566

SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO



Construtora e Imobiliária Tresel S. A.

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO

"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

fores: 93-1471

São Paulo



INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.
Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

P. K. O. — Warszawa

Tazab — London

Zastęstwo:

Empresa — J. RAJIC LTDA.
Praça da Sé, 399 — 4.º
Telefon: — 33-4983 i 36-8530
SÃO PAULO — BRASIL

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

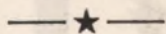
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Electr.: "COPINDUS"

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

CONSTRUÇÕES MECÂNICAS ROZENOWICZ LTDA.

Transportadores
Alimentadores
Elevadores
Peneiras
Moinhos de martelos
Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
C a m b u c i

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

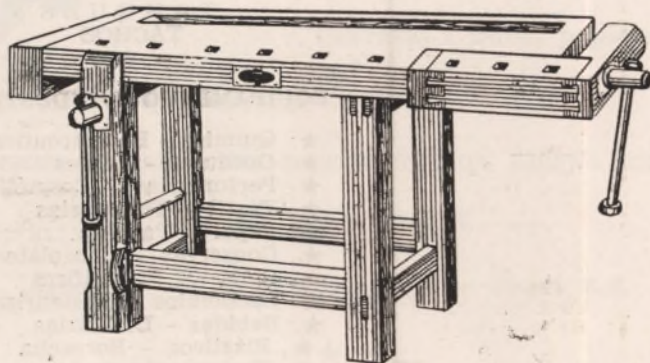
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p. Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

PASSAGENS AÉREAS O U MARÍTIMAS A PRAZO

Para qualquer parte do
BRASIL
e do
MUNDO

PELA COMPANHIA DE SUA
PREFERÊNCIA.

Vendas e Informações:

Agência Geral

"TOUR-BRASIL"

Avenida Ipiranga, 1129

Telefones:

37-8671

36-5402

36-1740

**PREPARAMOS A
DOCUMENTAÇÃO.**

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

**WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE**

SPIG

Sociedade Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo

RODOVIÁRIA
EXPRESSO

LEÃO LTDA.



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

**São Paulo
Salvador
Recife**

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMÉRICA
LATINA

FUNDADO EM 1920

**BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO**

Circulação

E O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

E O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TÊM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANÁ

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA



MESSAGERIES MARITIMES

Folha Polonesa LANÇA UMA GRANDE

EXCURSÃO PARA O NATAL NA POLÔNIA



IDA COM O NAVIO **“CHARLES TELLIER”** SAINDO DE SANTOS EM 26-NOV.-63

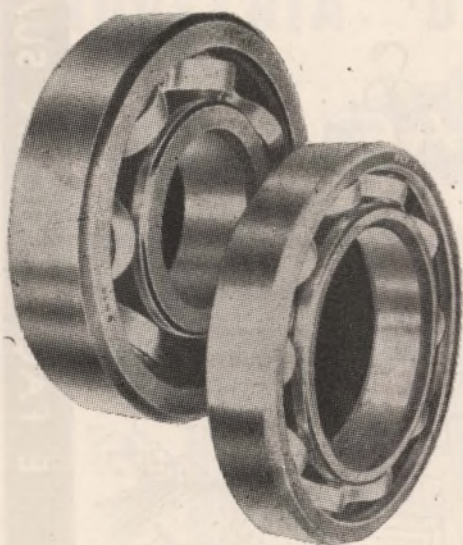
VOLTA COM O NAVIO **“LAENEC”** CHEGANDO EM SANTOS EM 6-FEV.-64

PREÇOS MUITO VANTAJOSOS E COM GRANDE FACILIDADE DE PAGAMENTO

INFORMAÇÕES: **Passatours Viagens e Cambio Ltda.**

TELS.: 33-7337 36-1808 37-0944

AVENIDA SÃO LUIZ N.º 104

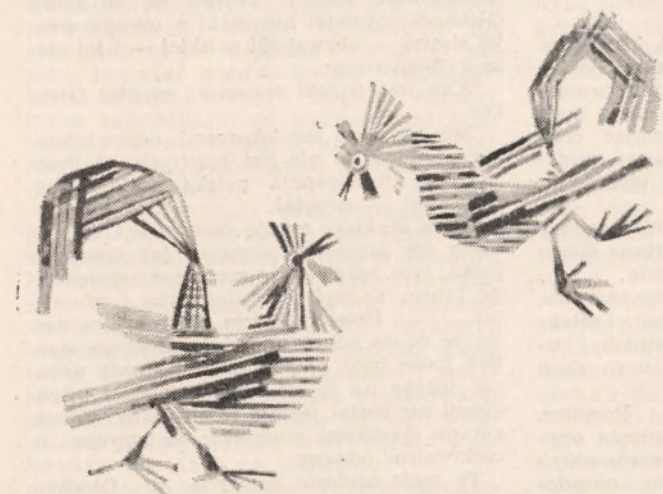


CZY WIECIE, ŻE ŁOŻYSKA KULKOWE (rolamentos)
F. Ł. T. SĄ POSZUKIWANE PRZEZ FACHOWCÓW
TUTEJSZYCH ZARÓWNO NA TERENIE PÓŁNOCY,
JAK I POŁUDNIA BRAZYLII?

CZY WIECIE, ŻE ŁOŻYSKA KULKOWE F. Ł. T.
POLSKA EKSPORTUJE NA CAŁY ŚWIAT?

GDY POTRZEBNE CI SĄ ŁOŻYSKA KULKOWE KUPUJ TYLKO
ŁOŻYSKA F. Ł. T., GDYŻ PRÓCZ DOBREJ JAKOŚCI SĄ ONE
POCHODZENIA POLSKIEGO.

DO NABYCIA W FIRMACH WYSPECJALIZOWANYCH.



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A. Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sérgio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: Av. Ipiranga, 1071 - 8.º - S/811/12
Cx. Postal 4530 - Fone: 35-5432 — São Paulo — Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.

Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 70,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.



POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA

Szkoła nienawiści

Przeciętny człowiek, zapracowany od rana do nocy, nie ma czasu na spostrzeganie zjawisk, które wydają mu się drugorzędne wobec kłopotów dnia powszedniego. W ten właśnie sposób wielu z nas znalazło się niespodziewanie w pobliżu pieców krematoryjnych.

Świat, na obszarze którego żyjemy, to jednak jeszcze bardzo niepokojny, nieustabilizowany świat. W dalszym ciągu, jak tysiące lat temu, przypomina dżunglę i rządzi nim prawa dżungli. Ludzie, których reakcje pierwotne i instynktowne przeważają nad rozumem, są między nami i ostrzą noże.

Otwórzcie szeroko oczy i rozejrzyjcie się po swoim domu i mieście. Nie musicie szukać daleko. Koło windy, na rogach ulic, na płotach, znajdziecie bez trudu symbol nienawiści — swastykę. Tu i ówdzie wyszczerzą do was zęby napisy mówiące o śmierci i krwi. Nie twierdźcie, że to głupstwo, że to niedobitki fašzystowskie, uprawiając głupią zabawę, malują ogrodzenia i mury. Rzecz jest bardziej groźna i niebezpieczna. Tak się niegdyś zaczynała awantura zwana drugą wojną światową, stąd wywodziły się łapaniki i obozy zgłady.

Z niewiadomego ośrodka dyspozycyjnego wychodzą rozkazy, czyjaś ręka, ręka mordercy wypisuje dla was: "Mane, Tekel, Fares!" A wy, do których to ostrzeżenie dociera, śpicie spokojnie. Biada wam!

Ciemne moce organizują się. Dziś jeszcze nie mają dostatecznej siły, żeby targnąć się zuchwale na świat. Czekają jak szczury w podziemiu, podgryzając drzewo, w cieniu którego mieszkamy. A jutro... Jutro, zwłaszcza tu, na chwiejnym gruncie Ameryki Łacińskiej, mogą doprowadzić do zagarnięcia władzy przez żywioły skrajne.

Kto wystąpi czynnie przeciw państwu totalitarnemu z chwilą, gdy powstanie? Kto zmusi zabójców do zakopania mieczy? Czyż to nie w naszych oczach eksterminuje się Kurdów w Iranie, likwiduje przeciwników samowładztwa w krajach opanowanych przez tyranów? Zasadą nie wtrącania się w sprawy wewnętrzne państwa, mimo deptania przez to państwo praw człowieka i obywatela, zasada archaiczna i doprowadzona do absurdu, chroni morderców.

Zbyt wiele czasu upłynęło od końca wojny. Stał karzącego topora stępiła się. Zbrodniarze podnieśli

znów głowę, zaczynają grozić. Szkoła nienawiści zyskuje coraz więcej adeptów.

A cóż my, ludzie spokojni i sprawiedliwi? Czy damy się wciągnąć w nową kabałę, z której nie pozostanie po nas śladu? Czas, abyśmy się ocknęli i przeciwstawili propagandzie śmierci. Ostrze o ostrze. Bądźmy nieustępliwi i twardzi. Wywlekajmy morderców z ich nor na światło dzienne. Odpowiadajmy propagandą na propagandę, ukazujmy bezmiar zbrodni popełnionych przez ten diabelski pomiot w okresie wojny, domagajmy się kar dla siewców nienawiści.

Czas tolerancji minął.

A r a m i s

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość ..	str. 7 - 10
W świecie nauki ..	" 10 - 12
Przeszłość a teraźniejszość ..	" 12 - 14
Literatura i sztuka ..	" 15 - 20
Życie społeczne i gospodarcze ..	" 21 - 22
Podróże — Przygoda ..	" 23 - 25
W Brazylii ..	" 26
Rzeczy ciekawe ..	" 27 - 28
W starym kraju ..	" 28 - 29
Na naszym podwórku ..	" 30

DOKTOR PRAW HITLEROWSKICH

Jak wygląda rasowy nordyk? Według warszawskiego dowcipu z lat wojennych powinien być jasnowłosy — jak Hitler, wysoki — jak Goebbels i szczupły — jak Goering.

Ci trzej wodzowie Trzeciej Rzeszy byli w istocie żywą karykaturą pseudonaukowych "teorii" rasowych brunatnego nazizmu. A jednak miliony sfanatyzowanych wielbicieli dogmatu o wyższości rasy germańskiej poszły za tymi szarlatanami i poparły ich w każdej zbrodni. Bo że chodziło o zbrodnię — co do tego nikt nie mógł żywić wątpliwości, przynajmniej od 1 kwietnia 1933 r., kiedy to na sygnał Goebbelsa bojówki SA wyszły na ulicę skandując: "Niemcy, wyzwólcie się spod tyranii żydowskiej!"

Szał antysemityzmu przybrał takie rozmiary, że minister spraw wewnętrznych Rzeszy poczuł się zmuszony rozesać okólnik — (17-I-1934), który stwierdzał m. in.:

"Niemieckie ustawodawstwo aryjskie jest konieczne ze względów narodowych i państwowych. (Ale...) Kasować, zmieniać lub rozszerzać obowiązujące ustawy Rzeszy (...) wolno tylko rządowi Rzeszy".

Innymi słowy: Ordnung muss sein — porządek musi być. Od tego jest państwo niemieckie, by regulować sprawy żydowskie. No i regulowało. Reichstag uchwalał nowe prawa, ukoronowane — w pierwszym okresie — ustawami norymberskimi, ministerstwa wydawały zarządzenia wykonawcze i rozsyłały okólniki, które stopniowo coraz bardziej wyodrębniały Żydów z niemieckiej społeczności, osaczały ich, odzierali z praw. Wciąż nowe przepisy z niemiecką dokładnością ustalały, kto jest Żydem, a kto pół, trzy ósme lub ćwierć Żydem. Zdolni i pracowici prawnicy niemieccy pieczołowicie wysmażali paragrafy, by nikt naznaczony piętnem niearyjskiego pochodzenia nie zdołał przecisnąć się przez oka sieci, lecz wpadł do matni.

Pośród tych zdolnych i pracowitych prawników niemieckich wybił się radca doktor Hans Globke — do 1939 r. kierownik referatu żydowskiego w ministerstwie spraw wewnętrznych III Rzeszy. Chlubne świadectwo wystawił mu 25-IV-1938 r. min. Frick we wniosku o awans:

"St. radca dr Globke należy niewątpliwie do najzdolniejszych i najwyższej kwalifikowanych urzędników mego ministerstwa. W szczególności wybitnej mierze uczestniczył on w powstawaniu następujących ustaw: 1) Ustawa o ochronie niemieckiej cześci i niemieckiej krwi z 15-IX-1935..."

Tak, dr Globke był człowiekiem bardzo cennym dla III Rzeszy. Pokazało się to zwłaszcza w czasach Grossdeutschland, gdy w głowie dawnego hodowcy kur, a wtedy już Komisarza Rzeszy do spraw umocnienia niemczyzny — Heinricha Himmlera, zrodził się Generalplan Ost, plan wyniszczenia kilkudziesięciu milionów Słowian i skolonizowania olbrzymich obszarów wschodniej Europy. Wizja to była potężna i wspaniała — tylko skąd wziąć tytuł Germanów? Wtedy to Reichsfuehrer SS Himmler zapewne nie bez wzruszenia odkrył podczas wizytowania łódzkiego obozu przejściowego dla Polaków wysiedlanych do Generalnej Gubernii z ziem polskich włączonych bezpośrednio do Rzeszy, że wśród tych wygnańców bardzo duży odsetek stanowią wysocy blondyni o niebieskich oczach. Wśród Polaków, wśród Słowian? To na pewno posiew krwi germańskiej, która zatonała w morzu słowiańskim, ale nie zginęła.

"Należy czuć, by żadna kropla krwi niemieckiej nie przepadała dla narodu niemieckiego" — napisał gauleiter Pomorza, Forster, w berlińskim "Voelkischer Beobachter". Znowu więc pracowici prawnicy niemieccy zabrali się do dzieła, by dla Tysiącletniej Rzeszy uratować owe zabłąkane stru-

myki niemieckiej krwi. Również i na tym polu ogromne zasługi położył radca Globke, który po gruntownym opracowaniu problemów ludności nie-aryjskiej, zajął się z kolei sprawami obywatelstwa. Reklamując cennego urzędnika od służby wojskowej ministerstwo spraw wewnętrznych w piśmie z 29-I-1940 stwierdziło:

"Radca ministerialny w ministerstwie spraw wewnętrznych Rzeszy dr Hans Globke (...) jest tu nie do zastąpienia. (...) Jest referentem zagadnień obywatelstwa, które powstały na tle utworzenia Protektoratu, wcielenia terenów wschodnich, utworzenia Generalgouvernement oraz akcji przesiedleńczych".

Owe tereny wschodnie — to Pomorze, Wielkopolska i Śląsk. A "zagadnienia obywatelstwa" rozwiązało rozporządzenie z 4-III-1941 r. o niemieckiej liście narodowej i niemieckiej przynależności państwowej na wcielonych terenach wschodnich. "Volkslista" rozróżniała dwie grupy Niemców oraz dwie grupy Polaków z "kroplą krwi niemieckiej", a zatem nadających się do zgermanizowania.

Niemiecka "Volkslista", do której dr Globke ogłosił potem jeszcze liczne komentarze, miała takie same cele, jakie spełniało "ustawodawstwo aryjskie": wyrzucała poza nawias społeczeństwa te masy narodu polskiego, które nie zasługiwały na to, by żyć i skazane były na wysiedlenie, ostatecznie zaś na zagładę.

Lecz eksterminacja "podludzi" nie należała już do kompetencji dr Globke. To była sprawa Gestapo i SS. Dr Globke pracował tylko za biurkiem nad projektami ustaw i okólników, jak również nad obowiązującymi komentarzami, z których każdy oznaczał wyrok śmierci.

Dr Hans Globke całkowicie był tego świadom. Zachodniobерliński dziennik "Tele-

graf" w numerze z 24 lutego 1956 r. zrelacjonował przebieg interwencji, z którą w październiku 1939 r. zwrócił się do radcy Globkego obywatel niemiecki w obronie swojej siostry — obywatelki polskiej — i jej męża z Wejherowa:

"Kim jest pański szwagier? zapytał Globke.

"Mój szwagier jest lekarzem", odpowiedziałem. I mimo to nie jest rozstrzelany? Przecież cała inteligencja polska została rozstrzelana! — zawołał.

Słowa te, które cytuję dosłownie i których nigdy nie zapomnę, odczułem jak uderzenie pałą, tym bardziej, że zostały wypowiedziane tonem najwyższego oburzenia i zdumienia. (...) Przejęty byłem przerażającą myślą, że co się jeszcze nie stało, może się stać. Być może było głupotą z mej strony zwracać uwagę na to, że ktoś z polskiej inteligencji nie został jeszcze rozstrzelany. Zdruzgotany opuściłem człowieka, od którego oczekiwałem pomocy.

Te moje osobiste przeżycia z Globkem przekazałem już protokółarnie licznym urzędowi. Także i pewna pani, która wraz ze mną była we własnej sprawie u Globkego i była świadkiem opisanej rozmowy, zwracała się do licznych ministrów federalnych, a nawet do Adenauera z zapytaniem, jak mógł taki człowiek, jak Globke, wejść w skład dzisiejszego rządu. Nie odniosło to żadnego skutku".

Doktor praw hitlerowskich Hans Globke od lat jest szefem urzędu kanclerskiego i prawą ręką Adenauera, który z uporem broni swojego pupila przed wszystkimi zarzutami. Widać dr Globke jest i dzisiaj nie do zastąpienia — zapewne z tych samych powodów, dla których nie do zastąpienia jest w Republice Federalnej wielka rzesza krwawych hitlerowskich sędziów, prokuratorów, generałów i innych współsprawców ludobójczego wyniszczenia Polski i całej wschodniej Europy.

Antoni Spandowski

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE...

Zanim przejdę do prawdziwych zdarzeń, "z nieprawdziwego zdarzenia", kilka słów o mojej skromnej osobie.

W zeszłą sobotę, pojechałem do szpitala w St. André, na okresowe badanie.

Doktor, — nazywa się Kamal Yazbek, — jest tak świetnym lekarzem, że dziwię się iż go nie uwiecznił Lermontow, w swoim pięknym poemacie p. t. "Kazbek".

Otóż stwierdził on zupełnie niezły stan mojego zdrowia, — czego życzę, serdecznie wszystkim przyjaciółom czytającym polskie pisma i książki, — ba, nawet pozwolił po czterech latach idealnej abstenencji wypijać jeden kieliszek wina tygodniowo.

Powróciwszy do domu, nie urządziłem się wprawdzie winem, ale urządziłem się żyletką w ucho. Wywołało to "alergię" na całą twarz. Powróciłem do dr. Kamala, który zapisał mi odpowiednie leki i zabronił surowo się golić.

Wyrosła mi obecnie broda, — o dziwo — koloru słonecznika. Trzeba wiedzieć, że jestem b. "bronetem". Nie odepnując mnie od czasów parańskich, "pomoc domowa" Elvira Tarnowska, twierdzi, że się to stało dlatego, że kilka lat temu, dostałem transfuzję krwi od — blondyna.

Niemniej broda jest potężna i mój wierny Burek, szczerka na mnie i nie chce mnie wpuścić do pokoju.

Każde zdarzenie ma swoje dobre strony. Wobec tego, że nie zrobiłem kariery

bez brody, myślę że jadąc na Kubę, będę miał poważne szanse.

Jeśli mnie Fidel zrobi swoim ministrem skarbu to przy dobrze znanych moich zdolnościach finansowych — zbańczę jeszcze w tym roku.

* * *

Wspominałem kiedyś w "Reflektorze" o Benjaminie Franklinie i jego sposobach na zdobycie pieniędzy. Niemowle z tego filozofa.

Niejaki Karl Mekis, były oficer S.S. w Linzu (Austria), został po wojnie zaangażowany do amerykańskiego wywiadu. Nie bardzo interesował się zagadnieniami strategicznymi, natomiast cały wysiłek poświęcił na szmugiel i poparcie "czarnego rynku". Złapano go, skazano na kilka tygodni aresztu i wypuszczono na wolność. Herr Karl, zdecydował się udać do Chile. Na statku spotkał się z innym dobrym Niemcem Franzem Weber-Richterem. Postanowili założyć spółkę pod firmą: "Wenus, Republika Światowa". W Santiago de Chile otworzyli biuro, zaangażowali trzy maszynistki i wzięli się do roboty.

Pierwszym plonem ich pracy była "Konstytucja Światowej Republiki Venu", licząca 629 stron pisma maszynowego na jeden zabek. Za nią poszły dekrety, nominacje, plany ekonomiczne i polityczne. W pismach austriackich, wioskich, szwajcarskich, amerykańskich

i zach. niemieckich, zaczęły ukazywać się ogłoszenia ofiarujące tłuste posady w nowej republice. Kilkakrotnie zapowiadane daty wylądowania na ziemi Wenusjan ulegały odroczeniu z powodu niedostatecznej ilości zgłoszeń i nie skompletowania kapitału. Niemniej kapitał ten rósł bardzo szybko. Najgorętszymi klientkami były bogate Niemki, które zapewniano ze wenusjańscy młodzieńcy są namiętnymi aniołami w porównaniu ze sflaczałymi, otyłymi piwozszami bawarskimi.

Biuro w Santiago prosperowało całą parą. Upojony powodzeniem Karl Mekis postanowił otworzyć filię w Wiedniu. Pierwszą klasą poleciał nad Błękitny Dunaj. Tutaj spotkało go pewne rozczarowanie. Kilku rozsądniejszych wyższych urzędników przyszłej "Republiki Światowej Wenus" — oprzytomniało i złożyło skargę do sądu. Mekisa aresztowano, pod zarzutem wyłudzenia od nich dwudziestu tysięcy funtów szterlingów i wpakowano na lat 5 do więzienia.

Nie zraziło to Franza Webera - Richtera. Siedzi w Chile i nadal odbiera przekazy pocztowe.

I pomyśleć, że mój najmiłszy przyjaciel, z Santa Catarina, proponuje zorganizowanie małej fabryczki pustaków cementowych.

Pusto-głowie oto teren działalności dla ruchliwych przemysłowców.

* * *

Sprawa już trochę przebrzmiała dotycząca byłego brytyjskiego ministra wojny Johna Profumo i miss Christine Keeler — ale podam o niej mało znany szczegół:

W londyńskich klubach niepotrzebnie beczą nad losem arystokraty, Mr. Profumo. Jest on właścicielem firmy ubezpieczeniowej "Provident Life Association of London". Wartość firmy dzisiaj: trzy miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów. Dwa lata temu, Mr. Profumo sprzedał udziały firmy inkasując 1 milion funtów. Jest jednak nadal posiadaczem dwóch trzecich aktywów firmy. Miss Keeler nie bawiła się z białymi łapserdakami. Kolorowy co innego.

Chciałem napisać dłuższy komentarz do tej całej afery, ale zmieniłem zamiar. Ta broda mnie obowiązuje. Muszę napisać o czymś poważniejszym.

* * *

Michael Benny z miasta Berkelay, w Kalifornii, dorobił się w błyskawicznym czasie fortuny. Jego świetne ciastka i torty były przyczyną bankructwa kilku miejscowych cukierników. Ciężarówka Mr. Benny gnała do najdalszych okolic. Koleiki klientów oczekiwały na nie na drodze.

Ludzie wyrwali sobie z rak jego wspinał się kreacje. Miss Rosa Wilkins w bójece o tort osmarowała kremem fizjonomię Mrs. Cabott i poszła za to na 24 godziny do paki.

Koniec końców, "Federalne Biuro Dochodzeń Stanu Kalifornia" — zainteresowało się powodami tak niezwykłego powodzenia słodczy wyrabianych przez Michaela Benny.

Agenci tego biura, skonsumowali trzy torty Michaela, poculi się po tym posiłku nadzwyczajnie, zaczęli śpiewać i tańczyć, a ich szef 30-letni Mr. Hopkins, pocałował w czoło 60-letnią "sprzątaczkę" Mrs. Perduto. Agenci, zapadli w sen. Wydawało im się, że są w haremie.

Cóż się okazało?

Wszystkie wyroby Michaela Benny zawierały pokątny procent "marijuany".

Benny siedzi obecnie w więzieniu, jego klienci mocno posmutnieli.

Pomimo wszystko zostanie wierny znakomitym tortom artystycznie wykonywanym przez mojego przyjaciela, drogiego pana M. Sz.

Myślę, że członkowie Klubu 44, zajmą podobne stanowisko.

* * *

Na wyspie Tarava, należącej do archipelagu Gilbert, panował do czasu zajęcia tych wysp przez Brytyjczyków, - zwyczaj zabijania niewiernych żon. Kiedy Brytyjczycy zajęli wyspy zwyczaj się zmienił.

Obecnie zdradzony mąż odgryza nos swojej niewiernej połowicy.

Zastanawiam się ile bym zobaczył fizjonomii niewieścich, z nieodgryzionymi nosami na ulicach miast.

Gdyby żony odgryzały nosy niewiernym mężom to obawiam się, że sam chodząc bez nosa. W liczny i dobrym towarzystwie...

Ale brode to mam!

P. S. Z tym odgryzieniem mi nosa, to lekka przesada. Każdemu wolno — marzyć.

* * *

W Londynie stanął przed sądem dr med. Thomas Gerald Boyle.

Oskarżono go o zaniedbywanie pacjentów, nieprzestrzeganie godzin ambulatoryjnych oraz zbyt częste zaglądanie do kieliszka.

Właściwych porad pacjentom płci męskiej udzielała zazwyczaj małżonka doktora, wypisując zrozumiałym charakterem pisma recepty.

Kiedy zjawiała się w konsultorium ładna panienka pędził do niej, odnajmujący pokój u doktorostwa, student weterynarii Mr. Peter Plumley i badał skrupulatnie czy przypadkiem nie jest cielną.

Gdy przypomniałem sobie diagnozę, jaką mi wystawili lekarze w Paranie, w miejscowości której nazwa przetłumaczona na język Jana z Czarnopolasu brzmiała "Góra Wesoła", po której to diagnozie i jej konsekwencjach, o mało się nie przejechałem do lepszego świata, to myślę, że lepiej bym zrobił poradziwszy się owego młodego weterynarza. Gdyby orzekł że jestem żrebnym, albo że mam nosaciznę, bliższe to było by prawdy od werdyktu wesoło-górskich eskalatorów.

Doktorowi Thomasowi odroczone wydanie wyroku na 12 miesięcy.

Jeśli się nie poprawi pójdzie do — kozy. Opuszczającemu gmach sądu, odśpiewali wdzięczni pacjenci angielski hymn ludowy, zaczynający się od słów: "For he's A Jolly Good Fellow".

Przyłączam się do tego chóru kontraltów.

* * *

W roku 1934 nawiedziła Małopolskę Zachodnią taka powódź, "jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali". Krewni moi, posiadali majątek ziemski u ujścia Dunajca do Wisły gdzie nasilenie powodzi było najgroźniejsze.

Pojechałem do nich, aby się naocznie przekonać o rozmiarach klęski.

Zatrzymałem się w na wpół zalanej małej wiosce pod Mędrzechowem. Ludzie potracili tu dobytek, szczątki chałup płynęły z wodą, tu i ówdzie słychać było płacz. W takiej to chwili, zjawił się we wsi sekwestратор urzędu skarbowego, celem "zajęcia" krowy za niezapłacony podatek. Chłopina, — właściciel krówki, — oświadczył, że krowy nie ma w zagrodzie

albowiem woda odcięła jej powrót z pastwiska. Sekwestратор wszedł do łódki i powiosłował ku małemu wzgórkowi na którym pasła się ocalała cudem krowa, po czym przylepił jej na rogu pieczętkę urzędową. Przyglądałem się z oddali tej operacji, a kiedy sekwestратор powrócił z wymyślałem go słowami, których na pewno nigdy nie słyszano w Wersalu. Po powrocie do domu, opisałem moje wrażenia na łamach "Dziennika Poznańskiego". Felieton zakończyłem następującymi słowami:

"Proszę p. t. czytelników, aby mi odpowiedzieli na pytanie: Gdzie w owym dniu znajdowało się prawdziwe bydło: na ocalałym na szczęście wzgórku pod Mędrzechowem, czy w niezalanym wodą — na wielkie nieszczęście — urządzie skarbowym?..."

Adwokat, dr Sozański, z trudem wytłumaczył pragnącym mnie zaskarżyć do sądu urzędasom, że sprawa przyniesie im więcej smutku, aniżeli radości.

Dali mi spokój.

Przypomniała mi o tej przegrodzie wioska Castelluccio di Norcia, znajdująca się w Półn. Włoszech. Jak wiadomo ubiegła zima była w Europie b. ciężka. Pośród wieloma innymi Castelluccio odcięte było od świata przez trzy tygodnie. Castelluccianie nie mieli już nawet makaronu.

Pewnego ranka pojawił się nad wioską wyczekiwany i wymodlony — helikopter. Na środek wsi spadła wielka paczka.

— Avanti!... Spagetti, tagliatelli, pizza napolitana! — krzyknęli uradowani głodomorzy.

Pierwszy dopadł paczki senhor La Pierda.

— Mamma mia!... — jęknął głucho — to są nakazy płatnicze na podatek gruntowy!...

Mora! Pijawki na całym świecie należą do jednej rodziny.

Niepotrzebnie tak się rozłościłem na tego sekwestratora pod Mędrzechowem! Jeśli czyta "Przegląd Polski" to niechże się dowie, że go serdecznie przepraszam.

* * *

Nienawidzę hałasów. Sąsiad mój ma sześć psów, które dotąd nie dawały mi spokoju. Pełnia księżycy — wycia; wesele — skamianie, jęki rannych, płacz zakochanych; obcy pies — piekło. Ale teraz mam spokój. Poprosiłem znajomego młodzieńca, właściciela magnetofonu, aby przy sposobności zwiedzania ogrodu zoologicznego nagrał mi na taśmę ryki dzikich zwierząt.

Kiedy pierwszego wieczoru psy rozpoczęły swój koncert, puściłem magnetofon na pełny regulator. Ślonia zniosły, foka je trochę zastanowiła, przy małpach odzyskały pewność siebie, ale gdy ryknął lew, podwinęły ogony pod siebie i zwały jak szalone w ciemną noc.

Dwa dotąd nie powróciły. Wynałazek opatentowałem.

* * *

W Memphis — Tennessee, złapano Mr. Larry Denisona który uciekł trzy lata temu z więzienia. Aresztowano go w chwili w której był zajęty pracą przy wznoszeniu nowego budynku, dla miejscowej policji.

— Beze mnie go nigdy nie skończycie... — mruknął Mr. Larry kiedy mu zaproponowano powrót do więzienia.

* * *

Burmistrz Mediolanu, Gino Cassini, przemawiał przeszło godzinę do słuchaczy którymi napchana była wielka sala



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

SMUTNE IMPLIKACJE NAUKI

„... Nauka i technika, którą stworzyła nauka, zmieniły życie ludzkie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat znacznie bardziej, niż w całym okresie poprzednim, odkąd człowiek zaczął uprawiać rolę. Zmiany te w dalszym ciągu rosną w sposób gwałtowny. I nic nie wskazuje na to, by w jakiegokolwiek bądź dziedzicie miał nastąpić jakiś nowy rodzaj stabilizacji. Przeciwnie, wszystko przemawia za tym, że możliwości rewolucyjne nauk sięgną znacznie dalej, niż z tego sobie zdajemy sprawę. Czy rodzaj ludzki potrafi dostatecznie szybko dostosować się do tych gwałtownych zmian, czy też zginie z braku umiejętności szybkiej adaptacji, jak to się stało z wielu innymi gatunkami?

W swoim czasie dinozaury były panami stworzenia; gdyby wśród nich byli filozofo-

wie, żaden z nich nie byłby przewidział, że cała jego rasa kiedyś wyginie. A jednak tak się stało, w wyniku braku umiejętności dostosowania się tej rasy do życia bez bagien...”

Tymi słowy zaczyna Bertrand Russel swoje wywody o związku nauki z życiem ludzkim *).

Wprawdzie w obecnym przypadku grozi nam nie przyroda, lecz coś, co jest całkowicie we władzy człowieka: stworzona przez niego nauka. Nie zmienia to jednak sprawy w sposób zasadniczy.

... Czy przyroda wysusza bagna, czy też to robi rozmyślnie człowiek, nie zmienia stanu rzeczy, jeśli idzie o wynik końcowy. Czy człowiek potrafi przeżyć zmiany wprowadzone przez jego własną umiejętność, pozostaje kwestią otwartą”...

Pesymizm Russela kieruje się głównie ku dwóm śmiertelnym chorobom ludzkości: ku wojnie i stopniowemu zubożeniu bogactw naturalnych Ziemi w wyniku nadmiernie szybkiej ich eksploatacji. Ani jedno ani drugie nie jest bezpośrednim produktem działalności naukowej; jest niewątpliwie czymś ubocznym, mającym korzenie gdzie indziej: w dziedzinie etyki ludzkiej, polityki i socjologii. Tam należy szukać źródeł tych nieszczęść, nie w nauce, która tylko współdziała, nie inicjuje. Wojny i chciwe i bezplanowe eksploatowanie wszystkiego, co się da wszystko to już było zanim do głosu doszła nauka, która jedynie usprawniła i wyolbrzymiła możliwości ludzkie w dziedzinie zabijania i niszczenia.

Idzie mi tu o co innego: o bagna, które wysusza nauka sama, bez udziału innych elementów życia zbiorowego ludzkości. O te przypadki, w których nauka nie jest narzędziem pomocniczym, lecz bezpośrednią sprawczynią skutków, jeśli już nie złych, to przynajmniej niepożądanych lub szkodliwych. Przy tym mowa jest o tej „prawdziwej” nauce, uprawianej w najlepszych intencjach odkrywania prawdy, nie o żadne wynaturzenia naukowe, lub pseudonaukę typu rasistowskiego.

Powstaje pytanie, jak coś, co pozostaje całkowicie we władzy człowieka i jest przezeń planowane, może obrócić się przeciw niemu; może stać się źródłem skutków niepożądanych lub szkód i nieszczęść, mimo że przy planowaniu nie popełniliśmy żadnych zasadniczych błędów?

Otóż nasza władza nad nauką i jej planowanie ma charakter inny niż to, co zazwyczaj przez te słowa rozumiemy. W architekturze lub urbanistyce możemy zrealizować projekt dokładnie tak jak myśmy go pierwotnie zaplanowali. W nauce planuje się tylko pytania stawiane przyrodzie. I nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaką odpowiedź na nie otrzyma. Odpowiedź ta może być zupełnie czymś innym niż to, czego się spodziewamy i na co jesteśmy w większym, lub mniejszym stopniu przygotowani. Może nas zaskoczyć. I w tym chyba tkwi największe „niebezpieczeństwo” nauki. Bo wszelkie zaskoczenia zarówno w życiu zbiorowym, jak i indywidualnym są co najmniej kłopotliwe, jeśli nie katastrofalne. Tym bardziej, że w ciągu wielu tysięcy lat poprzedzających czasy obecne, wszystko dokoła — może z wyjątkiem nauki i sztuki — starał się uczynić niezmiennym, odwiecznym, trwałym. Wszy-

(*) — B. Russel „Science and human life” zbiorze „What is science”, wydanym przez J. R. Newmana, Nowy Jork, 1961.

Henryk Przyborowski

skie religie świata uczyły nas o niezmienności spraw i wyroków boskich, o wiecznym i niezmiennym bytowaniu dusz sprawiedliwych lub potępionych. Również i w naszym życiu ziemskim staraliśmy się zwracać uwagę tylko na rzeczy trwałe i niezmiennie. Z jaką czcią i dumą deklamowało się o tym, co „nigdy nie przemienie”... Jednym słowem w najbardziej istotnych dziedzinach życia zbiorowego i indywidualnego dążyliśmy za wszelką cenę do stabilizacji.

Otóż nauka jest oczywistym zaprzeczeniem stabilizacji. Nasze widzenie i rozumienie świata zmienia się nie tylko z pokolenia na pokolenie (tak jak to było dawniej), lecz z dnia na dzień. To co wczoraj wydawało się prawdą najbardziej nieomylną i ścisłą, dziś jest tylko fragmentem, pewnym przybliżonym opisem, albo naiwnym sformułowaniem prawdy innej, głębszej, bardziej wszechstronnej.

Również i dawniej nauka była czymś dalekim od stabilizacji; jednak zmiany w niej następowały stosunkowo rzadko. Tak rzadko, że ogół ludzi, aczkolwiek nieraz z dużymi oporami, nadszedł za nimi i modelował swoją psychikę i przyzwyczajenia zgodnie z rozwojem nauki. Dziś zmiany te są niezmiernie szybkie; stanowczo za szybkie, jak na człowieka przeciętnego. Bo nie idzie tu o jakieś pobieżne zrozumienie takich czy innych osiągnięć nauki współczesnej, lecz o ich zaakceptowanie wewnętrzne, o ich właściwe przeżycie i przyswojenie. O to, by stały się elementem psychiki człowieka. I tutaj jesteśmy bardzo opóźnieni.

Ilustracją tego, co przed chwilą powiedziałem, może być historia jednej z najbardziej rewolucyjnych idei w nauce, Einsteina teorii względności. Kiedy się rodziła, spotkała się z entuzjastycznym uznaniem z jednej strony i gorącym sprzeciwem — z drugiej; tak jak to zazwyczaj dzieje się w nauce. Potem jednak, gdy jej słuszności nie można było już kwestionować z pozycji czysto naukowych, podniosła się nagle fala sprzeciwu typowo obskurantycznego. Idealisci zaczęli w niej widzieć jakiś rodzaj nihilizmu lub wręcz podszept złego ducha. Materialiści dali się zwieść jej pozorom sprzeczności z tym co nazywamy „zdrowym rozsądkiem”, jak też i tym, że na jej gruncie wyrosły pewne niekoniecznie dobrze uzasadnione uogólnienia filozoficzne. Tak czy inaczej teoria względności nagle znalazła się w charakterze oskarżonego przez ogół ludzi myślących wtedy, gdy fizyka nic właściwie nie miała jej do zarzucenia; przeciwnie, tam świeciła triumfem.

A dziś? Trzeba sobie powiedzieć, że jest w dalszym ciągu w wygnaniu, mimo że powstała przed pięćdziesięciu laty i że zrewolucjonizowała całą fizykę i w dużym stopniu filozofie przyrody. Bo jakże inaczej można nazwać obecny stan rzeczy, kiedy to teorie względności pominięto nie tylko w programie szkół średnich, lecz również na studiach wyższych z wyjątkiem nielicznej grupy przyszłych fizyków teoretyków.

Wszem, w praktyce eksperymentalnej i w wielu zastosowaniach fizyki nie mamy potrzeby uciekania się do teorii względności i można się dobrze posługiwać starą fizyką klasyczną. Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że rola ideowa i światopoglądowa teorii względności jest olbrzymia. A przecież w kształceniu młodzieży te aspekty są chyba najważniejsze!

W wyniku utrzymuje się cały świat, myślący w klimacie fizyki newtonowskiej, aczkolwiek współczesna fizyka dawno już od niej odeszła. Czy nie jest to straszliwy anachronizm?

Utrzymywanie świata w kręgu idei newtonowskiej jest anachronizmem sięgającym dalej niż tylko postępowaniem teorią względności. Chodzi o to, że idee newtonowskie sugerowały wszystkim naukom deterministyczny obraz przebiegu wszystkich zjawisk. Byliśmy i — w ogromnej większości — jesteśmy

ratusza. W końcu, zdziwiony chrząkaniami, przerwał tyradę w której rozwodził się nad piłką nożną.

Okazało się, że jego słuchaczami byli delegaci na zjazd ciężkiego przemysłu. Futbolisci czekali na burmistrza w innej sali. Burmistrz pomylił przygotowane kartki z tyradą.

* * *

Vasileos Kotsonaros oraz panna Eleni Kolanzi zjawili się u biskupa w Argos, które to miasto znajduje się w Grecji.

— Przyszliśmy prosić Waszą Eminencję o udzielenie nam ślubu... — uśmiechnęli się.

— Precz mi z oczu! — wykrzyknął biskup. — Wstydzicie się świątuchy, czego się wam zachciewa!

Pan Vasileos wyciągnął chustkę, otarł oczy narzeczonej i pocałował ją w czoło.

— Chodź duszko — szepnął — pójdziemy do urzędu stanu cywilnego. Nie usłyszysz wprawdzie marsza weselnego, ale miesiąc miodowy rozpoczniemy zgodnie z planem.

Zapytany przez urzędnika o wiek, — Vasileos odpowiedział dumnie:

— 84 lata. Eleni jest znacznie młodsza, — dodał melancholijnie, — liczy sobie tylko 76 wiosen.

Cóż to za cymbał powiedział, że życie zaczyna się po czterdziestce!

* * *

Innego zdania był Mr. William St. George. W wieku lat 40 postanowił zakończyć żywot i skoczył z czwartego piętra hotelu w Brisbane (Australia). Trzeba trafia, że pod jego oknem, na podwórzu, trzepała materace i poduszki Carmen Cassado, emigrantka hiszpańska. Mr. William wylądował na górze pościeli. Nie podrapał sobie nawet nosa.

— Spadłeś mi z nieba. — szepnęła Carmen, składając ognisty pocałunek na wargach Williama, kiedy odchodzili od ołtarza po ślubie.

Jak widać z powyższego zdarzenia, poduszki i materace mogą się przydać i w dzień i w — nocy.

my dziś przekonani o tym, że obecny stan przyrody ziemskiej lub kosmicznej, całkowicie i jednoznacznie przesądza o wszystkim, co ma nastąpić za tyle a tyle lat na Ziemi lub na niebie. To zaś, że nasze przepowiednie od czasu do czasu nie zgadzają się z rzeczywistością, jest wynikiem tylko niedoskonałości naszej wiedzy lub — najczęściej — niedoskonałości naszych możliwości rachunkowych. Bo bieg spraw w naturze jest całkowicie zdeterminowany jeszcze przed wielu tysiącami lat przez to, co fizyk nazywa warunkami początkowymi, a co w przekładzie na język codzienny nazwalibyśmy stanem rzeczy w pewnej dowolnej chwili.

Wiemy, że współczesna fizyka, i — choć w znacznie mniejszym stopniu — współczesna astronomia obrazów zastąpiła innym, niedeterministycznym, w którym pojęcie pewności jakiegos zdarzenia zastąpiło inne, o całkiem innym obliczu filozoficznym i przyrodniczym — pojęcie prawdopodobieństwa takiego czy innego zdarzenia lub zespołu zdarzeń. Świat przestał być ogromną skomplikowaną w konstrukcji, lecz prostą w działaniu maszyną; jest raczej czymś zbliżonym do domu gry, w którym dwie identycznie zbudowane ruletki dają w ruchu z reguły różne wyniki losowania, nie dające się przewidzieć ze względów zasadniczych, mimo doskonałej znajomości konstrukcji obu ruletek.

Dawny świat idealnego, jak nam się zdawało, porządku zastąpiło coś, co należałoby nazwać chyba chaosem. Słowo to bynajmniej nie zmniejsza możliwości poznawczych człowieka, zmienia jednak dość zasadniczo jego stosunek do świata. I w tym tkwi zapewne źródło wielu nieporozumień i wewnętrznych rozterek człowieka, przyzwyczajonego od wielu tysięcy lat do traktowania wszechświata jako wyrazu najwyższego porządku.

Kiedy się rozmawia z pedagogami i uczonymi o wprowadzeniu elementów teorii względności lub elementów rachunku prawdopodobieństwa w szkole średniej lub wyższej, słyszy się zazwyczaj jedną odpowiedź, która mówi sama za siebie. Te dyscypliny są za trudne dla umysłów młodzieży. Jasną jest rzeczą, że nie byłoby się zdawały tak trudne dla młodzieży, gdyby nie były za trudne dla nauczycieli. Gdyby nie to, że istotnie nauka dziś jest za trudna nawet dla ludzi o wykształceniu wyższym niż przeciętne.

Niezmiernie szybki rozwój nauki sprawił, iż nawet ludzi wybitniejszych nie stać na nadążanie za jej postępem. Wydaje się, że nigdy jeszcze na świecie nie było tak strasznego różnicowania poziomu umysłowego ludzi niż to mamy obecnie. Przecież mimo wszystko mamy dziś wiele milionów mieszkańców Ziemi zupełnie nietkniętych ani przez naukę ani cywilizację; wiele milionów analfabetów.

I obok ludzi tej klasy co Oppenheimer czy Huxley... Jakże zastraszające różnice! I nic nie wskazuje na to, by te różnice malały; przeciwnie, raczej będą rosły w wyniku szybkiego rozwoju nauki i bardzo powolnego podnoszenia się poziomu intelektualnego ogółu ludzkości.

Niezałdugo nasz świat stanie się światem nieszczęśliwych nuworyszów, korzystających w pełni z dobrodziejstw nauki, lecz nie mających zielonego pojęcia o tym, co zrobiła nauka i jakimi drogami do tego doszła. O tym, ile wysiłku i pomysłowości pokoleń uczonych kosztowało np. skonstruowanie lodówki lub wysłanie statku na Księżyc. Wydaje się, że pewne smutne symptomy tego stanu rzeczy notujemy już tu i ówdzie: przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, gdzie postęp nauk i techniki jest istotnie szybki.

Kiedyś, kiedy zaczęto wywłaszczać włościan czyniąc z nich ludzi wolnych, podniesiono bardzo rozsądnie kwestię ich wywłaszczenia ekonomicznego. Co z tego, że uczynimy kogoś wolnym, jeśli nie damy mu możliwości ekonomicznych do tego by nim być? Dziś wywłaszczając człowieka dajemy mu

SKARB CELTYCKI

W październiku r. 1962 dwaj robotnicy włoscy, bracia Ferrazza, zatrudnieni przy budowie tamy w dolinie niedaleko miejscowości Erstfeld w kantonie Uri w Szwajcarii, usuwali duży blok kamienny i nagle, po usunięciu glazu, spostrzegli żółte przedmioty metalowe. Nie było wątpliwości co do rodzaju metalu: złoto.

Natychmiast telefonicznie zawiadomili Muzeum Narodowe, ale dyrektor, prof. Vogt, nierzaz już alarmowany rzekomo sensacyjnymi wiadomościami, nie chciał się fatygować na miejsce znaleziska.

Wkrótce potem zgłosiły się u dyrektora muzeum dwie kobiety, żony owych robotników, i z torby wyjęły znalezione przedmioty: cztery naszyjniki o średnicy 16,6 cm i wysokości 16,5 cm, oraz trzy bransolety o średnicy 8 cm i wysokości 7,8 cm — wszystko z czystego złota i artystycznie zdobione.

Prof. Vogt był w najwyższym stopniu zdumiony i zaskoczony; podobnego skarbu od wielu dziesiątków lat nie znaleziono nigdzie na świecie.

Specjaliści Muzeum Narodowego orzekli, że ten niesłychaniej wartości skarb pochodzi z okresu ok. 400 lat p.n.e. i stanowi rzadkiej piękności komplet ozdób kobiecych kultury celtyckiej, po której zostało niewiele podobnych pamiątek.

A oto szczegóły odkrycia i opis znalezionych przedmiotów:

Odkrycia dokonano na dnie doliny, pod warstwą ziemi 9-metrowej grubości. Ale nie był to grób z epoki przedchrześcijańskiej.

Przypuszcza się, że ozdoby te pochodziły z obszaru południowych Niemiec lub północnej Szwajcarii, a przeznaczone były dla kobiety z rodu jakiegoś potentata celtyckiego w północnej Italii.

Doliną, gdzie je znaleziono, prowadziła prawdopodobnie jedna ze ścieżek wiodących ku przełęczy Gotharda. Doliny takie były nierzaz nagle zalewane wodą po ulewach, chodzenie tamtędy było niebezpieczne. Archeo-

logowie przypuszczają, że nastąpiło nagłe obsuniecie się ziemi, która przywaliła podążającego ku przełęczy kupca, a w każdym razie jego skarb — na prawie dwa i pół tysiąca lat.

Naszyjniki i bransolety nie były noszone, są zupełnie nowe, wyszły prosto z warsztatu złotnika.

Dwa naszyjniki są bogato grawerowane i to obustronnie. Motyw zdobniczy stanowią kunsztownie splecione dziwaczne istoty, co jest typowe właśnie dla sztuki celtyckiej. Ozdoby na ręce lub nogi mają motyw roślinny. Zwraca uwagę ich identyczny ciężar, z dokładnością do 4 gramów. Dwie z nich mają dekorację odwróconą, to jest stanowią parę.

Specjaliści uważają, że są to jedne z najpiękniejszych znanych dzieł sztuki złotniczej kultury celtyckiej.

Prasa szwajcarska słusznie podkreśla wyjątkową uczciwość, wzorową i rozumną postawę wobec tego bezcennego znaleziska skromnych, przybyłych dla zarobku do Szwajcarii robotników włoskich i ich żon. Złoto nęci nie tylko biedaków, ale bracia Ferrazza rozumieli, że wartość kulturalna znalezionych przedmiotów przekracza znacznie wartość szlachetnego metalu, z którego są sporządzone. Dzięki temu skarb ten nie dostał się w ręce handlarzy złotem czy amatorów-kolekcjonerów, i przede wszystkim nie dostał się za granicę.

Od 30 października ten wspaniały nowy, a pradawny skarb wystawiony jest na pokaz publiczny w Muzeum Narodowym Szwajcarii w Zurychu.

Nie należy wątpić, że znalazcy skarbu zostaną należycie wynagrodzeni — za złoto i za uczciwość. I chyba też złotymi literami nazwiska ich zostaną zapisane w dziejach archeologii, obok tylu innych przypadkowych odkrywców.

BRONISŁAW MIAZGOWSKI

(„Przegląd Kulturalny” — streszczenie redakcyjne).



Kobylińska Wardasowa, pierwsza kobieta kapitan żeglugi wielkiej.

wprawdzie pełne możliwości ekonomiczne; nie potrafimy jednak dać mu niezbędnych możliwości intelektualnych, aby poczuł się wolny, mimo że i w tym kierunku robimy duże wysiłki. Jednak wobec niezmiernie szybkiego rozwoju nauki wysiłki te nie odnoszą należytego skutku.

Otóż przyspieszenie procesu podnoszenia poziomu intelektualnego i wykształcenia ogółu ludzi jest moim zdaniem najważniejszym zadaniem chwili obecnej. Nie idzie tu o włożenie w głowy ludzi więcej danych, dat, go-

towych sformułowań. Nie o rozszerzenie programów w sensie objętości, lecz o gruntowną zmianę ich w sensie jakości. O to, żeby na samym początku nauki człowiek znalazł się w kręgu idei współczesnych, nie tych sprzed kilkuset lat; i żeby jego myślenie stało się bardziej syntetyczne niż myślenie jego przodków. Żeby znacznie większy nacisk położyć na rozumienie świata, niż na sumę wiadomości o nim.

WŁODZIMIERZ ZONN
(„Polityka”)

O WYMOWIE KWIATKA POLNEGO

Nic nie przejmuję nas tak głęboko, jak znalezione archeologiczne stanowiące dowód, że człowiek najodleglejszych epok był taki sam jak my, że podobnie jak my cierpiał, radował się i kochał. Dopiero gdy stajemy wobec indywidualnych losów dawnych epok, uświadamiamy sobie w całej pełni, iż na rozległą panoramę historii składają się żywoty milionów odeszłych ludzi, jakie podobnych do nas w swych skromnych, intymnych troskach i radościach.

Wyraził to znakomicie Howard Carter, odkrywca grobu faraona Tut-anch-Amun. W swoich wspomnieniach pisze on o tej sprawie w sposób następujący: Co jednak wśród tego oślepiającego bogactwa sprawiło największe wrażenie, to chwytający za serce wianuszek kwiatów polnych, położony na trumnie przez młodą wdowę. Cały królewski blichtr, całe królewskie bogactwo bladło wobec skromnego, zeschniętego narecza kwiatów, które zachowały jeszcze ślad dawnych kolorów. Przypominały one nam z nieodpartą wymową, jak znikomą chwilą są właściwie tysiąclecia.

Mniej więcej 150 do 50 tysięcy lat p.n.e. zaludniała Europę rasa ludzka, zwana neandertalską. Neandertaleczyk nie był naszym bezpośrednim przodkiem. Jego obrobiony, pochylony tułów, spłaszczona czaszka, wydatne łuki nad oczodołami i potężna zuchwa upodobniały go raczej do goryla. A jednak należał do rodzaju ludzkiego, gdyż sporządzał narzędzia i rozniecał ogniska. Mózg jego, jakkolwiek mniej rozwinięty niż mózg dzisiejszego człowieka, rozwinał się w sprawny instrument walki o byt. Czyż jednak posiadał on to, co jest istotne w pojęciu człowieka? Przejmując odpowiedź na to pytanie otrzymaliśmy dzięki odkryciu, dokonaniem w torfowisku na półwyspie duńskim Jutlandii. Był to szkielet Neandertaleczyka ułożony pieczołowicie w mogile, z głową spoczywającą na kamieniu. To kamienne wezłowie, podsunięte przez jakąś troskliwą rękę, mówi nam o Neandertaleczkach to, co trudno było wywnioskować z kopalnych zabytków ich kultury materialnej. Mianowicie upewnia nas, że w tych owłosionych, gorylowatych stworach zagościło już uczucie tliwej, bezinteresownej miłości.

W tej Jutlandii archeolodzy spojrzeli w twarze ludzi, którzy żyli dwa tysiące lat temu. Było to dla nich przeżycie silne i niepospolite. Albowiem nie były to szkielety ani mumie ani odlewy gipsowe z form, wyciśniętych w wulkanicznym popiele przez nieszczęsnych mieszkańców Pompei, lecz autentyczne zwłoki ludzkie, zakonserwowane w torfowisku wraz ze skórą, włosami i wnętrznościami. Podczas obdukcji lekarze mogli przeprowadzić sekcję ich serc i żołądków, uzyskali nawet wyraźne odciski ich palców.

W pokładach torfu jutlandzkiego odkryto między innymi trumnę wyciosaną z pnia dębowego. Gdy podniesiono wieko, ujrano zwłoki jakby we śnie pogrążonej dziewczynki o delikatnych rysach twarzy. Na jej piersi spoczywał zasuszone kwiatuszek goździka, złożony przez kochającą osobę na pożegnanie: dowód ludzkiego żalu sprzed dwóch tysięcy lat.

W jutlandzkiej miejscowości Tollund wydobyto z torfu nagiego mężczyznę z postronkiem na szyi. Był to więc niewątpliwie wisielec. Leżał na boku skurczony, jakby zmorzony snem. Brwi miał lekko ściągnięte, a usta były skrzywione w grymas niezadowolenia. Lekarze stwier-

dzi, że liczył około 40 lat. W niedużej odległości od Tollund znaleziono drugiego nagiego mężczyznę, który miał przecięte gardło jakimś ostrym narzędziem.

W Szlezwik-Holsztynie, a więc również w północnej Europie, odkryto w torfowisku parę, świadczącą o zamierzłej tragedii. Była to naga czternastoletnia dziewczynka z opaską na oczach. Lewa strona jej głowy pozbawiona była włosów i wykazywała ślad uderzenia tępym narzędziem. Opodał leżał mężczyzna w pełnym wieku, nagi i z pętlą na szyi.

Co kryje się za tymi morderstwami? Jest to zagadka kryminalna godna Scherlocka Holmesa. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że wszystkie zwłoki pochodzą z tego samego okresu, mianowicie z I wieku n. e. i że oprócz czterech wymienionych znaleziono w ciągu ostatnich stu lat jeszcze około stu innych trupów ze śladami gwałtownej śmierci. Ofiary zakopano tak jak padły: na wznak, na bok ze skurczonymi nogami lub na brzuchu. Skąpe ślady pokarmu w żołądkach świadczą, że trzymano skazańców w więzieniu co najmniej przez trzy dni bez pożywienia. Mężczyzna odkryty w pobliżu Tollund, jak sądzić z zarostu, nie golił się przez trzy ostatnie dni swego życia.



PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIEJSZOŚĆ —

RODOWÓD GENERAŁA SIKORSKIEGO

Wędrując z autorskimi odczytami po kraju, nieraz odwiedzałem województwo rzeszowskie. Jak i wszędzie, często rozmowa czytelników z autorem schodziła na tematykę drugiej wojny światowej i na dzieje emigracyjnego premiera i naczelnego wodza generała Władysława Sikorskiego. Szczególnie interesują ludzi tajemnicze okoliczności towarzyszące katastrofie lotniczej, w której Sikorski wraz ze swoją córką i oficerami zginął przed 20 daty, powracając do Londynu z inspekcyjnej podróży po Środkowym Wschodzie. We wsi Hyżne i we wsi Tuszów Narodowy w powiecie mieleckim szczególnie tłumne były te spotkania.

Nic w tym dziwnego, gdyż w tych właśnie wsiach żywa jest do dziś tradycja związana z generałem.

W Nieborowie koło wsi Hyżne od dawna siedziała rodzina Sikorów. Jeden z nich, Tomasz Sikora, był organistą. Kiedy rząd austriacki zaczął otwierać szkoły "ludowe", ambitny organista zdał odpowiedni egzamin zostając nauczycielem szkół ludowych. Jakoś w tym czasie zmienił nazwisko chłopskie Sikora na brzmiące "po szlachecku" Sikorski. (Taką praktykę nie była w XIX stuleciu rzadkością, o czym wiadomo mi dobrze, jako autorowi powieści historycznych, który przewertował wiele starych szpargałów). Następnie nauczyciel Tomasz Sikorski rozejrzał się za żoną. Znalazł ją w osobie Emilii Albertowiczówny, mieszkającej z matką we dworze Hyżne. Matka panny, wdowa po ekonomie, była dworską szafarką, Emilia opiekowała się dziećmi właścicieli majątku, Jędrzejowi-

Istnieją na temat ich śmierci dwie teorie. Jedni twierdzą, że byli to przestępcy skazani na śmierć. Powołują się przy tym na Tacytę, który w swojej pracy o Germanach donosi, że plemiona germańskie winnych zdrady i dezeracji karali powieszeniem, a tchórzów i różnego rodzaju zboczeńców seksualnych topili w moczarach.

Moim zdaniem bliższa prawdy jest druga teoria. Plemiona germańskie Jutlandii i północnej Europy uprawiały kult bogini płodności zwanej Nertus. Na wiosnę przed wysiewami obwożono po polach jej wizerunek na wozie zaprzęgniętym w woły. Po tej procesji obmywano posąg i wóz, a ludzi, którzy wykonywali ten rytuał i tym samym sprofanowali boginię swoim spojrzeniem, zabijano i wrzucano do moczarów. Na dowód tej teorii wysuwają się dwa argumenty. Po pierwsze: uderza fakt, że wszystkie zwłoki znaleziono wyłącznie na obszarze dawnego kultu bogini Nertus. Po drugie: mimo że trupy pochodzą z epoki brązu, nie znaleziono przy nich ani jednego przedmiotu z metalu. Wiadomo zaś, że podczas uroczystości na cześć bogini Nertus usuwano z jej otoczenia wszelki metal. Ci mężczyźni i kobiety byli więc ofiarami rytualnymi, ofiarami jednego z tych barbarzyńskich mitów, które tak ciężko zażyły na losach pokoleń ludzkich.

ZENON KOSIDOWSKI

("Przegląd Kulturalny" — streszczenie redakcyjne).



Dekoracja rannego lotnika krzyżem Virtuti Militari przez gen. Sikorskiego.

syn i córka, drugi syn Władysław (w 1881 r.) i druga córka. Ale w roku 1884 pani Emilia owdowiała i powróciła pod opiekę kuńcze skrzydła dworu Hyżne z czworogiem drobiazgu, tak iż przyszły generał nawet nie pamiętał swojego ojca; wychowując się w Hyżnem — wieś tę uważał za rodziną.

Jakże ta rodzina żyła? Właściciel majątku dał wdowie na mieszkanie mały drewniany domek pod starą szkołą w Hyżnem, gdzie zajmując się krawiectwem pani Emilia Sikorska przemieszkała 30 lat, aż do roku 1917, kiedy przeniosła się do swojej zamężnej córki do Krakowa. Domek już nie istnieje; ocalała tylko lipa, która przy nim stała.

Posiadam świadectwo panny Marii Jędrzejowiczówny ze dworu w pobliskiej Dylegówce, bo i tam chodziła „za robotą” wiejska szwaczka Sikorska. Cytuję: „... przez lat 20 przychodziła do nas stale... pamiętam doskonale... jej pracowitość, dobre serce, inteligencję, miłe pogodne usposobienie, dowcipne powiedzenia, no i śliczne bajki, jakie nam, dzieciom, opowiadała... Aż do lat dorosłości... wszystkie nasze dziecinne sukienki... wszyta nasza bielizna wyszły spod jej ręki... Pielęgnowała w chorobach, odwoziła nas nieraz do Krakowa...” Tak więc — stara, a zawsze piękna, historia matki, która czyni cuda, aby jakoś wychować i do życia przysposobić swoje potomstwo.

Syn Władysław miał szczęście. Po ukończeniu czterech klas wstąpił do seminarium nauczycielskiego w Rzeszowie; Jędrzejowicz pomagał płacić za niego bursę. Ale dyrektor seminarium Zubczewski wysoko ocenił zdolność i charakter chłopca, zaczął więc kształcić Władysława dalej na swój koszt, w ogóle zabierając go do swojego domu. Zubczewscy jako bezdzietni, już wychowywali przybraną córkę Helenę; teraz przybył im przybrany syn. Gimnazjalista Sikorski nazwiska nie zmienił, ale do opiekuna mówił „ojczce”. Do matki przyjeżdżał na święta i na wakacje, w sąsiednich dworach pożyczał książki, wiele czytał. Pośród młodzieży wodził rej, obdarzony werwą i talentami towarzyskimi. Maturę zrobił mając już lat 21. W roku 1910,

Najstarszy most na Wiśle

Pierwszy w Warszawie most na Wiśle wybudowano już w drugiej połowie XVI w. Wzniesienie stałego mostu przez tak szeroką rzekę jak Wisła było na owe czasy wielkim i niespotykanym przedsięwzięciem. Choć gazeta wówczas jeszcze nie znano, wieść o warszawskim moście dotarła do najodleglejszych zakątków Europy. Panorama Warszawy wraz z mostem została zamieszczona w sześciotomowym dziele Brauna i Hogenberga „Civitates orbis terrarum”, opatrzonym pięknymi

spełniając plany Zubczewskich, ożenił się z ich wychowanką, przybraną córką Heleną. W roku 1912 młodemu małżeństwu urodziła się córka Zofia, ta sama, która razem z ojcem zginęła pod Gibraltarem.

Przyszły generał zawarł małżeństwo już po ukończeniu Politechniki we Lwowie, gdzie studiował inżynierię wodną i stał się duszą akademickich tajnych organizacji, ze szczególnym naciskiem pracując nad przygotowaniem kadr przyszłego wojska. W Hyżnem u matki był często, dbał o jej potrzeby, rodzeństwo także dopomagał przez całe życie, a pośród tak zwanej „śmietanki” towarzyskiej Lwowa, już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, choć stał się „narodowym bohaterem”, chętnie rozmawiał o swoim dzieciństwie i o matce, nie wstydząc się pochodynia od ludowego nauczyciela i wiejskiej szwaczki.

Dalsze dzieje są znane ogólnie, a i ja zajmowałem się nimi w książkach „Sikorski i jego żołnierze”, „Gwiazda Władysława Sikorskiego” i „Wbrew rozkazowi”, zdając relacje o generale, u którego służyłem jako oficer prasowy. Sądzę, że teraz do naszych uczonych należy dokonanie poszukiwań archiwalnych dla dokumentalnego potwierdzenia rodowodu Sikorskiego. Niedawno, podczas wieczoru autorskiego w kopalni „Wujek” w Katowicach, napotkałem inżyniera Sikorę, który na podstawie własnej tradycji rodzinnej potwierdził opisane przeze mnie pochodzenie Sikorskiego.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz
("Życie Warszawy")

miedziorytami, wydanym w Kolonii na przełomie XVI i XVII w. Posiadaniem tej książki chlubią się obecnie największe biblioteki świata. Prace przy moście rozpoczęto dnia 25 czerwca 1568 r. Król Zygmunt August powierzył zarząd administracyjny nad budową staroście warszawskiemu Wolskiemu, rachunki prowadził ks. kanonik Szedloch, budowę kierował mistrz Erazm z Zakroczymia. Budowa trwała przeszło cztery lata. Na jej kosztyłożył w głównej mierze król. Most opierał się na piętnastu ostojach i zbudowany był z okazałych bali dębowych. Ukończenie mostu król nie dożył. Krótko przed śmiercią — zmarł 7 lipca 1572 r. — kazał się przewieźć przez most, łódko królewskie ustawiono na specjalnie skonstruowanym wozie. Budowę mostu dokończyła siostra króla Anna Jagiellonka. W dniu 5 kwietnia 1573 r. otwarto most dla ruchu. Na brzegu warszawskim wybudowana została piękna mурована baszta, do dzisiaj zachowana. Stoi u wylotu ulicy zwanej dawniej Walszewem, która odtąd otrzymała nazwę Mostowej. W baszcie mieściła się straż marszałkowska, strzegła ona porządku na moście i pilnowała go od pożaru. Regulamin ogłoszony nazajutrz po otwarciu ustalał m. in., aby „żaden nie śmiał od siódmej do dziewiątej na półzegarzu do Warszawy na most wjeżdżać, ani w ulicach na mieście, ani na przedmieściu zacieśniać, zwłaszcza wozami, zaś od trzeciej do piątej po południu z Warszawy przez most jechać... czego czeladź Ichmościów Panów Marszałków ma przestrzegać, a jeśli się od nich o to któremu woźnicy łaską dostanie, nie ma to ich panów obrażać...” Znakomity poeta Kochanowski napisał o moście kilka fraszek. W jednej z nich chwalił króla, że „Wisłę, która nie zawdy przewoźnika słucha mostem spełnia, bród wielki, ale droga sucha”.

W innej zaś składał mu dzięki:

„Bóg — zaś zapłać o królu, żeś most zbudował”

Pierwej-em zawędy szeląg nad potrzebę [chował

A dziś i ten-em przepił, bo idąc do domu Najpóźniej, od przewoźu nie płacę nikomu”.

Most wymagał ustawicznej pieczy i naprawy, gdyż lody spływające na wiosnę z reguły wyrządzały w nim szkody. Również król Batory polecał mieć o całość mostu nieustanne starania. Widocznie jednak rozkazów królewskich nie pilnowano dostatecznie, gdyż w 1603 r. most wody zniszczył. Choć most drewniany zdał egzamin, przetrwał bowiem lat trzydzieści, przez następnych 250 lat wznoszono jedynie tak zwane mosty na łyżwach, które zazwyczaj na zimę rozbierano, gdyż nie wytrzymywały one naporu lodów ruszających na wiosnę. Most stały zbudowali wprawdzie Francuzi na początku 1807 r., gdy armie napoleońskie wkroczyły do Warszawy. Jednak most, chociaż koszty jego wyniosły 700.000 złp. przetrwał zaledwie cztery miesiące. Podobny los spotkał dwa następne mosty wzniesione w 1808 i 1809 r. Pourócono więc znów do mostów łyżwowych. Stały most kratowy, systemu amerykańskiego, wznosił dopiero inżynier Kierbedź w latach 1859-1864; kosztował on prawie trzy miliony rubli. Przetrwał do końca drugiej wojny światowej i zniszczyli go hitlerowcy.

KRONIKARZ

DR STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Załatwia wszystkie sprawy cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp. — BIURO: Rua Senador Feijó, 29 4 p. s. 417 (obok Katedry) tel.: 35-6521.

PRZYJMUJE OD 13 DO 19 GODZINY.



Zachód słońca nad jeziorem Nidzkim
(Mazury)

POMNIK KRÓLA JANA SOBIESKIEGO W ŁAZIENKACH

Po botaterskim pogromcy Turków pod Wiedniem, króla Janie III Sobieskim zachowały się w Warszawie liczne pamiątki. Najcenniejszą jest kościół Kapucynów przy ul. Miodowej, wystawiony przez króla Sobieskiego w latach 1683-1692 jako votum za odniesione pod Wiedniem zwycięstwo. W kościele tym zwłoki króla Jana III spoczywały przez z górą lat trzydzieści, zanim w 1733 r. razem ze zwłokami królowej Marysieńki i króla Augusta III Mocnego zostały bardzo uroczysto przeniesione do Krakowa na Wawel. W Warszawie pozostało serce króla Sobieskiego. Przechowane jest w kościele Kapucynów w kaplicy zwanej Królewską, w której znajduje się pomnik króla Jana III wzniesiony w 1830 r. na zlecenie i z funduszy cesarza Mikołaja I, koronowanego w Warszawie królem Polski. Kościół Kapucynów przetrwał szczęśliwie powstanie warszawskie; serce króla Jana III spoczywa w ciszy.

Bardziej znanym niż opisana tu kaplica i oglądanym przez liczne wycieczki przyjeżdżające do Warszawy, jest pomnik króla Jana Sobieskiego wznoszący się przy moście w Łazienkach. Przedstawia on postać królewską na koniu w otoczeniu różnych emblematów zwycięstwa odniesionego nad Turkami. Pomnik został wystawiony na polecenie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Zaczęto go jednakże wykuwać jeszcze za życia króla Jana Sobieskiego, lecz pracę przerwano i niedokończony posąg królewski przeleżał w kamieniołomach sztylówieckich przeszło sto lat, zanim go na polecenie króla Stanisława Augusta wykończył rzeźbiarz Franciszek Pink. Odsłonięcie pomnika odbyło się z nadzwyczajną pompą w 105-tą rocznicę wiktoria wiedeńskiej w dniu 14 września 1788 r.

W Parku Łazienkowskim z rozkazu króla Stanisława Augusta wybudowano specjalny amfiteatr z drzewa, mogący pomieścić 6000 osób. Urządzono tu tak zwany wówczas karuzel, czyli gonitwy i zapasy rycerskie na koniach. Brali w nim udział pażowie królewscy oraz oficerowie pułków kawaleryjskich. Po karuzeli odbyło się przedstawienie na wolnym powietrzu w teatrze na Wyspie Łazienkowskiej. Odśpiewana była kantata, ułożona specjalnie na tę uroczystość przez biskupa Naruszewicza, oraz odtąńczono balet również na tę uroczystość przygotowany. Po przedstawieniu teatralnym nastąpiła olbrzymia iluminacja rzeźbiście oświetlonego Parku Łazienkowskiego, po czym król w Pałacu

Łazienkowskim oraz w namiotach postawionych obok pałacu przyjmował kolacją najbardziej dystyngowanych gości. Cały ten festyn zakończył "wspaniały i kosztowny fajerwerk, wypuszczony przy odgłosie harmat w różnych sztukach ogniowych na wodzie i na lądzie, który bawiąc przez pół godziny spektatorów wydał na ostatku bukiet z kilku tysięcy ras złożony". Spektakl wyległa oglądać dosłownie cała Warszawa, tłumy wypełniły nie tylko cały piękny Park Łazienkowski lecz również okoliczne pagórki. W mieście krążyły specjalne warty, aby opustoszałe mieszkania ustrzec przed złodziejami. Król August Poniatowski odsłonięcie pomnika odbywał z tą niespotykaną pompą, ponieważ miał na

względzie cele polityczne. Pragnął zmobilizować opinię publiczną dla zamierzonej przy boku Rosji i Austrii wojnie przeciwko Porcie Otomańskiej. Celu nie osiągnął. Naza jutrz krążyły uszczypliwe wierszyki ośmieszające króla, z których najkrótszy brzmiał:

Sto tysięcy karuzel. Ja bym dwakroć użył
Zeby Staś skamieniał, a Jan III ożył".

Z pomnikiem Sobieskiego na moście Łazienkowskim związana jest jeszcze inna anegdota. Car Mikołaj I przejeżdżając kiedyś obok mostu w towarzystwie swego adiutanta, zaszalował przed konnym posągiem zwycięzcy spod Wiednia. Spozstrzegłszy to adiutant zapytał cesarza, co go skłania do tego respektu. Na co odrzekł car Mikołaj I, robiąc aluzję do swej pomocy wojskowej udzielonej w 1849 r. Austrii przeciwko Węgrom: "On był pierwszy durak, a ja wtorej, czto poszli pomagat Awstrij" — (On był pierwszym durniem, a ja jestem drugim, którzy pośpieszyliśmy z pomocą Austrii).

KRONIKARZ

JAN STANISŁAW KUBARY BADACZ WYSP OCEANII

Jan Stanisław Kubary urodził się w Warszawie 13 listopada 1846 r., z ojca Polaka i matki Niemki. Ojciec jego umarł wcześnie. Gdy Jaś liczył lat 6, matka wyszła powtórnie za mąż za szewca Tomasza Marcinkiewicza. Mieszkanie i warsztat ojczyma mieściły się w oficynie dawnej Biblioteki Żaluskich przy ul. Daniłowiczowskiej. Piękny ten gmach, ozdobiony popiersiami królów polskich i stąd zwany "Domem pod Królami" zniszczony został w Powstaniu Warszawskim; obecnie odrestaurowany jest siedzibą ZAIKS'u. Tutaj upłynęło dzieciństwo i młodość Kubarego; ojczym był gorącym patriotą, brat ojczyma został przez władzę carskie powieszony za udział w zamachu na policmajstra. Gdy wybuch powstania 1863 r., Jaś Kubary, choć liczył zaledwie lat 18-cie, ucieka z 6 klasy I Gimnazjum Warszawskiego do szeregów powstańczych. Mimo młodego wieku spełnia ważne zlecenie mu funkcje. Po upadku powstania zgłasza się w Dreźnie do poselstwa rosyjskiego i otrzymuje zezwolenie na powrót do Warszawy.

Studiuje medycynę w Szkole Głównej, a w 1868 r. z powodów politycznych ucieka do Berlina. Podróż odbył z braku funduszy pieszo; w Berlinie znalazł pracę jako robotnik; przeniosłszy się do Hamburga zostaje zaangażowany przez bogatego armatora Godeffroy, który zwrócił uwagę na inteligencję

młodego Polaka. W 1869 r. Jan Kubary wyjeżdża jako agent Muzeum Godeffroy na wyspy Oceanii, aby zbierać tam okazy etnograficzne i przyrodnicze. Podróż odbył jeszcze naokoło Afryki, trwała 130 dni; było to na krótko przed udostępnieniem dla żeglugi Kanału Suezkiego, otwartego w listopadzie 1869 r.

Na wyspach Polinezji Kubary miał przeżyć 28 lat. W ciągu tego okresu prowadził badania na wyspach Samoa, Tonga, Fidżi, archipelagu Marshalla, Karolinach, Palau, archipelagu Gilberta, Cooka i szeregu innych oraz na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Gwineji. Umiał zyskać zaufanie tubylców, został obrany naczelnikiem na wyspie Palau. Tam też uzyskał świetne wyniki pracy, odkrył nieznane gatunki fauny i flory, zbierał wiele cennych wiadomości o ustroju społecznym tubylców.

Gdy po pięcioletnim pobycie, w 1874 r. po raz pierwszy wraca do Europy, wskutek strasznej burzy morskiej traci około 102 skrzyń, olbrzymią większość zgromadzonych zbiorów etnograficznych; udało mu się uratować tylko coś ponad 20 skrzyń. W Warszawie, gdzie przyjechał do matki, część tych zbiorów nabył fotograf Miecznikowski, część Warszawski Gabinet Zoologiczny. Pracami jego spośród polskich uczonych zainteresował się przede wszystkim wybitny ornitolog Władysław Taczanowski. Kubary wziął udział w Zjeździe Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie w dniach 19-24 sierpnia 1876 r. Wygłosił referat, został wybrany jednym z czterech sekretarzy, w spisie uczestników jest wymieniony jako: "Jan Kubary z Warszawy przybyły z Australii".

Wrócił z powrotem na swoje wyspy, do Europy przyjechał ponownie w 1894 r., tym razem z żoną i córką. Żona jego, Anna Jelliotte była pół — Polinezyjką, ojcem jej był misjonarz metodystów z Baltimore, matka córką jednego z wodzów tubylców. Kubary ponownie bierze udział w zjeździe lekarzy i przyrodników we Lwowie, szóstym z kolei, który odbył się w 1894 r. Chciał zostać w kraju, ale nie znalazł dla siebie pracy i musiał wrócić do Australii. Umarł tu na wyspie Ponape 9 października 1896 r. Znalaziono go martwego w pozycji siedzącej niedaleko grobu jego jedynego syna, który zmarł dzieckiem. Różne krążyły wersje na temat jego śmierci, mówiono, że umarł na udar serca, że popełnił samobójstwo, że został zabity. Gdy Japończycy objęli Karoliny w posiadanie

(Dok. na s. 19)



Na kolonii dziecięcej we wsi Dębowa Góra.



D U D U Ś

Duduś nie bardzo sobie przypominał Kaniewskich. Poznał ich na przyjęciu u ministra Popkiewicza (Popkiewicz był ministrem Sprawiedliwości w jednym z rządów emigracyjnych, ale to się działo dawno i obecnie zajmował się z powodzeniem handlem drzewem). Więc Popkiewicz przedstawił Dudusia wysokiej, przystojnej pani o nosie z garbkami i włosach malowanych na rudo. Mąż tej pani był bladej, jakby zaspany i mrugał bezustannie oczami.

U Popkiewiczów grano w bridża i tych dwoje zaraz zasiadło do kart. Duduś nie mógł się im nawet dobrze przyjrzeć. Teraz natomiast w przedpokoju swego mieszkania na Montmartrze przypatrywał się z pewnym zaambarasowaniem pięknej pani, jej anemicznemu małżonkowi i dwóm córeczkom. Kon-sierż przytaczał z trudem trzy ciężkie walizy i ustawił w piramidę pod ścianą. Ponieważ Kaniewski nie kwapił się z płaceniem Duduś dał dozorczy kilka franków.

— Przyjechalismy właśnie z Londynu — mówiła Kaniewska — i pani Popkiewiczowa skierowała nas do pana. Pan jest podobno taki uczynny. My tylko na 24 godziny. Nie mamy nikogo w Paryżu i przepraszamy, że tak beczelnie, ale zaraz się wyniesiemy. Jutro.

Zanim Duduś zdołał odpowiedzieć Kaniewski skierował się z walizkami do sypialni, a mama z córkami do łazienki.

— Chodźcie, dziewczynki, musicie się umyć po podróży. Gdzie pan trzyma czyste ręczniki, panie Bryl?

Duduś był tym tempem z lekką oszołomiony, zwłaszcza, gdy wkrótce potem Kaniewscy zjawili się w bawialni w szor-tach.

— Niech pan nie robi ceremonii i też włoży coś niekrę-pującego — mówiła Kaniewska. — Jest tak gorąco...

Była doskonale zbudowana i miała długie, piękne nogi, którymi, siedząc, bezustannie manewrowała. Ale nawet te nogi nie mogły przesłonić Dudusiowi faktu, że jego spokój został naruszony. Myślał, że nie będzie mógł wieczorem usiąść przy biurku w wyświechtanym szlafroku i starych, przydepta-nych pantoflach, mając pod bokiem dzbanek z czarną kawą i paczkę kaporali. A właśnie dziś planował napisanie ważnego rozdziału w swojej pracy o degeneracji zwierząt ziemnowod-nych pod wpływem naświetlania promieniami Roentgena.

Kobiety mało go w ogóle interesowały. Zastanawiał się nawet w czasie studiów, czy nie wstąpić do zakonu. Miałby tam dużo czasu na myślenie i czytanie. Ale potem porzucił ten zamiar, ponieważ nie odpowiadały mu reguły zakonne, zmuszające do zajęć i modłów według niezmiennego rozkła-du. Był na to zbyt wielkim indywidualistą. Poza tym lubił zjeść smacznie, a na to nie można było liczyć w klasztorze. Z czasem nauczył się świetnie gotować, znajomi nazywali go: "Kucharzem Doskonałym".

Nadarzała się teraz sposobność, żeby raz jeszcze błysnąć talentem. Przeprosił gości i poszedł do kuchni. Krystyna Kaniewska kilkakrotnie tam zaglądała, ale nie zaofiarowała pomocy. Przyglądała się gospodarzowi jak siekał i dopra-wiał mięsa i jarzyny. Był wielki, cokolwiek zgarbiony, jak to się zdarza wielkoludom. Uważała, że jest interesujący z tą swoją twarzą pustelnika, ściągłą, pooraną zmarszczkami.

— Pan musi być bardzo silny, panie Bryl.

Zwrócił na nią szare oczy o zaczerwienionych powiekach.

— Dosyć. Dziś jeszcze potrafię łamać podkowy. Ale co to ma za znaczenie? Gdybym miał zamiar występować w cyrku to co innego.

Zaśmiała się.

— Kobiety to lubią.

— Nie rozumiem.

— Kobiety lubią siłę.

W czasie kolacji była ogromnie ożywiona. Piła dużo dżinu i koniaku i ocierała się ostentacyjnie o Dudusia. Ka-niewski zdawał się tego nie dostrzegać. W końcu zapro-po-nowała bruderszaft.

— Przepadam za tobą, Duduś! Artur, nie patrz się, będę całowała Dudusia.

Usiadła mu na kolanach. Czuł przez cienką bluzkę krągość jej piersi. Było mu bardzo niezręcznie.

— Jak nas ulokujesz na noc?

— Bo ja wiem? Mam tylko kanapę, na której śpią dzie-ci i tapczan. Odstąpię wam tapczan.

— No, a pan? A ty? — poprawiła się.

— Zesunę dwa fotele. Jakoś się prześpię.

— Przykro mi, doprawdy. Ale ostatecznie to twoja wi-na. Dlaczego nie masz żadnego łóżka gościnnego?

Duduś puścił tę uwagę koło uszu. Późno już było kie-dy znalazł się w gabinecie. W głowie mu szumiało. Dawno już nie wypił tyle alkoholu.

Rozebrał się, włożył piżamę. Przysunął do siebie dwa fotele, ale były za krótkie, rozsuwały się. Dał w końcu spo-kój, postanowił przespać się na siedząco. Miał się już zdrzemnąć, gdy skrzypnęły drzwi.

Noc była ciepła. Przez otwarte okno świecił księżyc. W jego blasku Duduś zobaczył Krystynę.

— Tss! — szepnęła. — Przyszedłam do ciebie.

— Bój się Boga, przecież twój mąż może się obudzić.

— Nie martw się, on zawsze śpi jak drwal. O słyszysz jak chrapie?

Przycisnęła się do Dudusia. Zapach trawionej wódki buchnął mu w twarz.

— No, chodź, chodź! Obejmij mnie mocniej.

Nie wiedział co robić. Bał się, że lada chwila drzwi od sypialni otworzą się i stanie w nich Kaniewski. A przy tym Krystyna na niego nie działała. Nie znosił pijanych kobiet. Ale jakże ją odtrącić! Wiedział, że od czasów biblijnej Pu-tyfary jest dla niewiasty największa obelga. Dopomógł mu przypadek. Kaniewska zmieniła się na twarzy.

— Niedobrze mi — wymamrotała — strasznie mi nie-dobrze...

Znał te historie. Prędko popchnął ją do okna, przytrzy-mał za głowę. Wymiotowała z trzeciego piętra wprost na ulicę.

— A teraz do łóżka — powiedział.

Dała się posłusznie zaprowadzić do sypialni. Mignęły mu gołe nogi Kaniewskiego, leżącego prawie w poprzek tapczanu.

Nazajutrz, po powrocie z wykładów, zastał Krystynę sa-mą.

— Bardzo jesteś zgorzchniony? — zapytała. — Zachowa-łam się jak proszę. No, a ty straciłeś jedyną prawie okazję. Milczai.

— Słuchaj, chciałam z tobą pogadać. Wiesz, będziemy się musieli zatrzymać u ciebie tydzień, albo dwa. Artur ma dostać posadę w Genewie, ale to jeszcze potrwa. Nie gnie-wasz się, co?

Nie wiedział co odpowiedzieć. Wszystkie plany obraca-ły się w niwecz. Dwa tygodnie wyrwane z życia. Dwa ty-godnie rezygnacji z pisania książki.

Poszedł do miasta, kupił leżankę. Wieczorem zamknął się w gabinecie na klucz. Ale Krystyna nie myślała nawet składać mu wizyty. Przestał ją interesować.

Dopiero pod koniec miesiąca Kaniewscy zapowiedzieli, że wyjeżdżają.

— Artur dostał tę posadę. Tylko, Duduś, nie wiem jak ci to powiedzieć, ale nie możemy zabrać ze sobą dzieci. Bę-dziemy mieszkać w hotelu, a przy tym Wisienka nie może stale zmieniać szkoły. Czy nie zechciałbyś zatrzymać dzie-wczynkę do naszego powrotu? To potrwa najwyżej rok. Zwró-cimy ci, oczywiście, wszystkie koszty i za służącą, bo bę-dziesz chyba musiał przyjąć służącą.

Duduś otworzył szeroko oczy.

— Ależ, moja droga, ja się do tego nie nadaję. Nigdy nie miałem dzieci i nie wiem jak się z nimi postępuje. Do-prawdy...

Krystyna nie dała mu dojść do słowa.

— Ty jesteś fajny chłop i dzieci cię lubią. Nie spieraj się już, kochany, dobrze?

W wigilię wyjazdu Kaniewscy wyprawili obiad pożegnalny. Okazało się, że mają mnóstwo znajomych w Paryżu. Zjawili się kilku malarzy ze swoimi modelkami, czy przyjaciółkami; jakiś młody, piegowaty poeta, który przez cały wieczór asystował Krystynie i z którego zachowania widać było, że łączy go z nią intymne stosunki i jeszcze wielu młodzieńców, nazywających się studentami, ale zdradzających raczej przynależność do złotej młodzieży bez zawodu i zajęcia. Przynieśli ze sobą instrumenty muzyczne. Jazz, rock, szaleństwo trwały do samego rana. Po wyjściu gości Duduś stwierdził, że zginął mu pamiątkowy złoty zegarek po ojcu. Dwa krzesła były połamane i cała łazienka zarzygana.

Kaniewscy pożegnali się z Dudusiem wylewnie, obiecali pisać i przysyłać na utrzymanie dzieci.

Dziewczynki nie przejęły się specjalnie wyjazdem rodziców. Jedna z nich miała sześć, a druga osiem lat; obie blondynki o zadartych noskach i niebieskich oczach, szalenie do siebie podobne i różniące się tylko wzrostem i uczesaniem. Starsza nosiła warkoczek, a młodsza loki i grzywkę.

Na szczęście konsierżka naraiła Dudusiowi dobrą kobietę, która poprowadziła gospodarstwo i zajęła się dziećmi. Dzieło Dudusia o zwierzętach ziemnowodnych posuwało się szybko naprzód mimo, iż poświęcał dziewczynkom dużo czasu, wychodząc z nimi na spacer i do kina. W niedzielę wyprowadzał z garażu swój stary samochód, od kilku lat nie używany, i wyjeżdżał z dziećmi na wycieczki podmiejskie albo do ogrodu zoologicznego. Dziewczynki przepadały za nim, nazywały go wujkiem.

Listy od Kaniewskich przychodziły nieregularnie, a pieniądze w ogóle nie przysyłały. Dudusiowi wydawało się czasem, że wcale nie wrócą i był z tego rad. Przywiązał się do dzieci, życie bez nich straciłoby dla niego sens. Tak minęły dwa lata.

Nagle pewnego wieczoru, gdy otoczony kłębam dymu kończył jeden z ostatnich rozdziałów pracy — ktoś gwałtownie zadzwonił do drzwi frontowych. Byli to Kaniewscy.

— Jak się masz, Duduś — powiedziała Krystyna. — Jak widzisz, wróciliśmy.

Stał chwilę w progu, jak skamieniały.

— Co się tak na mnie patrzysz? Niezadowolony jesteś? Może byś dał nam herbaty. Marzę o szklance gorącej herbaty.

Nic nie mówiąc poszedł do kuchni. Zdawało mu się, że cały dom zawalił mu się na głowę.

Nazajutrz z rana miał zamiar wynieść się po angielsku, ale Kaniewska złapała go w przedpokoju.

— Chciałam się z tobą rozmówić. Rozpuściłeś dzieci, zupełnie ich nie poznaję. Małgosia nie chciała mnie nawet pocałować na powitanie.

Popatrzył na nią zdumiony.

— Ale ja przecież nic takiego nie zrobiłem. Po prostu zajmowałem się dziewczynkami.

— I ukradłeś im serca, — stwierdziła ze złością.

Otworzył usta. Po raz pierwszy poczuł się we własnym domu intruzem.

Dzień był wolny od zajęć uniwersyteckich, wybrał się więc do biblioteki, a następnie na obiad do klubu.

Kiedy wrócił przemknął się chyłkiem do gabinetu i zadzwonił na gosposię. O tej porze podawała mu zawsze kawę. Nie nadchodziła. Zniecierpliwiony zadzwonił po raz drugi, wreszcie poszedł sam do kuchni.

Przechodząc przez jadalnię zastał tam Kaniewskich. Jedli kolację.

— Wyrzuciłam tę wydrę — powiedziała Krystyna. — Nie cierpię takich starych, brudnych bab i w dodatku okradała nas.

— Wyrzuciłaś Aimée?

— Bo co? Miałam się może spytać o pozwolenie?

Duduś poczerwieniał. Katem oka spostrzegł na stole butelkę burgunda z r. 1938, którą chował na jakąś wielką okazję. W pierwszej chwili chciał złapać tych dwoje za kark i rzucić ze chodów. Pohamował się jednak i tylko żyły nabrzmiały mu na karku.

Wrócił do gabinetu, otworzył szafę i zaczął wrzucać beładnie ubrania i ważniejsze książki do walizek. Przy tym zajęciu zastały go dziewczynki.

— Co ty robisz, wujku? — spytała Małgosia. — Wyprowadzasz się?

Duduś przygarnął dziewczynki do siebie, wielką żalostí ogarnęła mu serce.

ANECDOTKA

Było już dobrze po północy, kiedy brat Hilary się zaśmiał. Fakt ten, może się nie wydać nadzwyczajny tylko ludziom, którzy nigdy nie słyszeli jego śmiechu. Brat Hilary zaczynał się śmiać nie tak, jak zwykli śmiertelnicy, ale — odwrotnie: śmiał się już wciągając w płuca powietrze. Był to gulgot pompy ssąco-tłoczącej, którą brat Hilary napelniał miechy potężnych płuc, przygotowując je do — eksplozji. W tym pierwszym stadium żaden odgłos nie wychodził z jego ust na zewnątrz. Grzmot nadchodzącego huraganu wchłaniany był do wewnątrz, a człowiek znajdujący się w tej chwili na wprost ust brata Hilarego, był narażony na stratę luzno na szyi zawiązanego szalika.

Kiedy wszystkie rezerwy powietrza zostały skoncentrowane w płucach, rozpoczynało się drugie stadium. Zapowiadał je rechot, podobny do rechotu czarownicy gnającej na miotle od komina do komina. Rechot ten był czymś w rodzaju stłumionych uderzeń gonga, zapowiadającego podniesienie kurtyny przed właściwym widowiskiem.

Rechot, gulgot, bulgot, przybierał z wolna na sile, aby nagle, a niespodziewanie przemienić się w grom uderzający w uszy, jak fala wzburzonego morza wali w nabrzeżną skałę. Mury klasztoru trzęsły się w posadach, obrazy Świętych Pańskich spadały ze ścian, a przerażony dyżurny pobliskiego Instytutu Meteorologicznego gnał do telefonu nadać ostrzeżenie o zbliżającej się burzy.

W tym trzecim stadium brat Hilary, wstrząsany spazmami śmiechu jak kopnięciami hipopotama, był zupełnie bezzilny. Łzy spływały po jego lśniących policzkach na koszulę, która po kilku minutach wyglądała jakby ją wyciągnięto z balii.

Przyczyną śmiechu brata Hilarego w ową pamiętną noc, (którą mam zamiar nieudolnie opisać,) była anegdotka o roztrzępłym profesorze chikagowskiego uniwersytetu.

Oto jej treść:

“Zapominałsi prof. Hopkinson, właściciel rzadko czesanej brody i samochodu Ford z roku 1924-go, stanął na drodze bez benzyny. Zapomniał po prostu, przed wyjazdem napędnąć zbiornik. Zbliżył się do niego Jack Smith potężnym Cadillacem, (typ 1963) pędzący na randkę z ukochaną. Profesor zatrzymał Jacka i poprosił o dociągnięcie na lince do najbliższej stacji benzynowej.

— Ma pan linę?... —

— Nie rozstaje się z nią nigdy! — odpowiedział profesor.

Przyczepili Forda do Cadillaca. Po pewnym czasie Jack marzący o ukochanej, zapomniał o przyczepionym Fordzie, minął stację benzynową i dał gazu. Licznik wskazywał 80 klm, 100 klm, 120 klm na godzinę. Zakochany młodzieniec nie zauważył nawet policjanta, który dawał mu znaki, żeby zwolnił, gnał jak szalony. Policjant włączył radio i połączył się z następnym posterunkiem na drodze.

— Słuchaj George... — mówi do kolegi policjanta, — zbliża się w twoim kierunku Cadillac z szybkością ponad 100 klm. Zatrzymaj go i wlep mu karę...

— Dobrze... — odpowiada George.

— Czekaj, to nie wszystko!... Może ci się to wydać nieprawdopodobne, ale tuż, tuż za Cadillaciem szoruje Ford z roku 1924, z jakimś starym brodaczem za kierownicą, który trąbi jak wariat i chce go minąć...

Jak to drodzy państwo mieli możność się przekonać, a-negdotka ta nie jest specjalnie zabawna. Ale opowiedział ją bratu Hilaremu brat Kalikst, niedościgniony w recytacji, gestykulacji i imitacji gdakania kury, piania koguta, szekania, warkotu motorów czy też płaczu niemowlęcia. Każdy jego ruch, każdy grymas znamionował mistrza w opowiadaniu wesółych historyjek.

Przebudzony w nocy brat Hilary, uznał anegdotkę za jeszcze śmieszniejszą, aniżeli mu się wydała podczas opowiadania. Zaśmiał się tedy z całego serca, z całego gardła i z całej siły płuc.

Śpiący wraz z nim bracia zapalili lampy, a bracia Probus i Damazy zbliżyli się do jego łóżka drżąc z przerażenia. W chwili, w której huragan śmiechu brata Hilarego osiągnął punkt szczytowy, a bracia mieli nadzieję, że zwiastuje bliskie przesilenie kataklizmu, rozległ się odgłos podobny do głośniego “pstryknięcia” palcami, a śmiech brata Hilarego przemienił się w bolesny jęk.

Pozostali bracia Kalikst, Celestyn i Prokop, zerwali się na równe nogi.

— Coś mu się stało... — rzekł brat Celestyn.

— Rzeczywiście!... — zgodził się brat Prokop.

— Szczeka mu wyleciała ze stawów!... — zawyrokował brat Damazy i miał rację.

Brat Hilary usiadł na łóżku. Wyraz twarzy miał zmieniony.

SEBASTIAN ARHENS

— Leć i zawiadom Ojca Gwidona... — powiedział brat Damazy do brata Prokopa.

Ojciec Gwidon był człowiekiem akcji. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na wykrzywioną bólem twarz brata Hilarego, aby się zorientować w sytuacji.

— Kto najbliższej klasztoru ma samochód?... — zapytał.
— Rzeźnik Tomasz Ścierpko, — odpowiedział brat Damazy.

— Biegnij mi zaraz po niego! — zwrócił się ojciec Gwidon do najstarszego, kulawego brata Celestyna.

Nie minęła godzina, a brat Hilary w towarzystwie braci Prokopa i Damazego siedział w półciężarówce.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności wprowadzono brata Hilarego na oddział "nagłych wypadków" Szpitala Miejskiego.

Brat Damazy przedstawił wypadek, urodziwej pannie Ziucie, która pełniła obowiązki "nocnej" siostry. Siostra pobiegła po dyżurnego lekarza, którym (na swoje nieszczęście) — był świeżo upieczony dr Liszka.

— Takiego wypadku nie miałem w całej praktyce... — bąknął młody doktor, kiedy jego wzrok spoczął na obliczu brata Hilarego.

— Co on zrobił? — zwrócił się do braci.

— Zaśmiał się... — odpowiedział brat Prokop.

— O tej porze? O drugiej w nocy?! — zdumiał się dr Liszka.

— Z powodu anegdotki o profesorze i jego Fordzie, szczeka mu wyleciała ze stawów... — wyjaśnił brat Damazy.

— Nie mógł to złamać obojczyka, — pomyślał dr Liszka, — albo skrócić karku? Szczeka! To mnie urządził!...

Młody doktor miał powód do niezadowolenia. W swojej krótkiej praktyce tamował krew, składał połamane ręce i nogi, pompował żołądki, asystował przy porodach. Szczeka brata Hilarego była pierwszą o którą miał się potknąć. Dr Liszka spojrział z ukosa na siostrę Ziutę.

— Lepiej zawiadomić starego... — mruknął.

— Nie będzie zbytnio uradowany... — szepnęła siostra Ziuta.

— Ja wiem, że nie będzie, — powiedział smętnie dr Liszka, — ale nie ma innej rady: nie mam zielonego pojęcia jak wstawić tę pierońską szczekę...

Siostra Ziuta podeszła do telefonu. Po chwili przy łóżku naczelnego lekarza, dr Kurka-Kurkowskiego, rozległ się dzwonek.

— Co jest, do stu diabłów!... — zaspany dr Kurek przyłożył słuchawkę do grdyki.

— Wypadek wywichniętej szczęki — powiedziała Siostra Ziuta. — Bardzo mi przykro panie doktorze, że pana budzę o tej porze, ale dyżurny lekarz...

— Ciele!!! — zawołał rozbudzony już zupełnie dr Kurek. — Nie, nie siostra... — dodał usłyszawszy w słuchawce coś w rodzaju spazmu.

Burcząc pod nosem niezrozumiałe przekleństwa dr Kurek-Kurkowski wszedł na salę "nagłych wypadków".

— Gdzie pacjent?... — zwrócił się do dr Liszki. Młody doktor wyciągnął rękę w kierunku brata Hilarego.

— Chodź pan tu bliżej... — dr Kurek odsunął się nieco, robiąc miejsce obok siebie młodemu koledze. — Patrz pan i uważaj: umieszczasz pan palce swojej prawej ręki tutaj, lewej w tym miejscu, widzisz pan?... A teraz się naciska w ten sposób... Zrozumiałeś pan?...

W tej chwili rozległo się "psstryknięcie" a na oblicze brata Hilarego powrócił wyraz normalnej tępoty.

— Dziękuję panu konsyliarzowi... — powiedział uradowany.

— Głupstwo! Dziecinna zabawka! — zawołał dr Kurek-Kurkowski...

— Do zobaczenia przy weselszej okazji...

Ruszono w drogę powrotną a Tomaszowi Ścierpce udało się zatrzymać samochód tylko o pół kilometra po minięciu klasztornej furty.

— Niech brat się nie śmieje do rana... — poradził Ścierpko, wyrывая klamkę z drzwiczek które się zacięły.

— O nie będę! — zapewnił brat Hilary. — Dziękuję panu Tomaszowi za pomoc i polecam się pamięci...

— Nie ma za co... — ziewnął szeroko Ścierpko.

Wiadomo powszechnie, że ziewanie jest zaraźliwe. Zmęczony brat Hilary, — którego ziewanie było tak szczere jak jego śmiech, — ziewnął za przykładem Ścierpki.

— Dobra-nooc... — wymamrotał.

W tej chwili rozległo się znane już nam "psstryknięcie".

— Bracie Hilary!!! — wykrzyknął brat Damazy. — Coś brat zrobił?!

— Po raz drugi!... — brat Prokop złapał się za głowę.

Starter zgrzytnął, karburator kichnął, bracia zajęli poprzednie miejsca w samochodzie.

— Nie, nie!... Wszystko tylko nie to!... — załamał ręce dr Liszka, kiedy siostra Ziuta zawiadomiła go o powrocie pacjenta.

— Co za miła niespodzianka!... — syknął wchodząc na salę "nagłych wypadków".

— Tak, to ja... — sklonił się brat Prokop.

— To my... — poprawił go brat Damazy.

— I on... — dr Liszka palnął w ramię brata Hilarego.

— Gdzie stary przykładał palce? — zadał sobie pytanie, cisnąc z całej siły szczękę brata Hilarego w poszukiwaniu miejsca nastawienia.

Brat Hilary kwiknął załóżnie i złapał zębami rękę dr Liszki.

— Lepiej, zawołajmy starego... — powiedział dr Liszka ścierając krew ze skaleczonej ręki.

Po kilku minutach drzwi rozwarły się z trzaskiem, a na salę wpadł jak rakietą dr Kurek-Kurkowski. Bez słowa zbliżył się do brata Hilarego, wpakował mu pokrywkę od pudełka z instrumentami w usta i zaczął cisnąć bez litości — szczękę. Po kilku sekundach rozległo się bardzo dobrze już nam znane "psstryknięcie".

— Dziękuję uprzejmie... — powiedział cichutko brat Hilary.

— To nie koniec! — wrzasnął dr Kurek. — Tampony! Gaza! Bandaże elastyczne! Klamry! Gips !!... — strzelał rozkazami, kierując je raz ku siostrze Ziucie, drugi raz ku młodemu doktorowi. Bandaże zaczęły błyskawicznie otaczać głowę brata Hilarego zaciskając się na ustach, uszach, nosie, opasując tonzurę i szyję.

— Teraz, — powiedział dr Kurek-Kurkowski, — może się brat śmiać, ziewać i śpiewać! Przyjechać tu po trzech tygodniach dla zdjęcia opatrunku!... — rzucił zatrząskując drzwiami sali "nagłych wypadków".

— Trzy tygodnie!... — wyrzekł oniemiały brat Damazy, — Dominus vobiscum!

— Et cum spiritu tuo!... — zanucił przeciągle brat Prokop.

Dr Kurek-Kurkowski położył się po raz trzeci tej nocy, do łóżka.

Kiedy już miał gasić światło, przypomniało mu się obandażowane oblicze brata Hilarego.

— Wyglądał jak kalafior na dwóch nogach, oblany sosem chrzanowym!... Na dwóch nogach!!! — wybuchnął niepomowanym śmiechem.

"Psstryk, psstryk..." — znany nam już do znudzenia odgłos, przerwał kaskadę śmiechu naczelnego lekarza Szpitala Miejskiego.

Tym razem sanitarka szpitalna pognąła po prof. dr Rajmunda Rojce.

— Co mu się stało?... — spytał profesor młodego doktora.

Ubiegła go w odpowiedzi wesolotka, roześmiana panna Ziuta.

— Nic wielkiego, — zachichotała — zaśmiał się.

— Niech się siostra nie śmieje! — dr Liszka zasłonił dłonią usta panny Ziuty, — ta choroba jest zaraźliwa!...

— Czy ja nie zabiłbym? — rozejrzył się po sali prof. dr Rojce.

Czy to nie jest przypadkiem oddział nerwowo-chorych?

— Żeby nie profesor, tobym pannie Ziutce inaczej zamknął usta... — szepnął młody doktor, kiedy się znaleźli na ciemnym korytarzu.

— Jak? Jak?! — panna Ziutka przytuliła się do niego.

Kiedy młody doktor długo nie odpowiadał na to pytanie, panna Ziutka zaczęła się śmiać głośno.

Ten śmiech nie trwał długo.

B. KASZOROWSKI.

KLINIKA OCZNA NOSA, USZU I GARDŁA

Dr Wolf Ursztajn

dyplomowany w Paryżu i w Brazylii, członek tytularny Brazylijskiego Towarzystwa Oftalmologicznego w Rio de Janeiro.

Recepty do okularów. Operacje i leczenie

Przyjmuje codziennie od 9 do 18, w soboty do 12. Av. São João, 755 1 p. cj. 11, obok kina Metro — Tel.: 34-1909

GARIMPEIRO QUELUZ

WSPOMNIENIE Z GOIÁS

(Dalszy ciąg z nr. 32)

Wśród innych przedmiotów zwiślał przybyszowi u pasa woreczek z pęcherza wcale nie lichej pojemności, a z jego wnętrza wynurzyła się gruba na dwa palce czarna kielbasa skręcona z liści tytoniu. Z nabożnym uszanowaniem przecięto tytoniową kiskę na pół, a potem jedną i drugą połowę znowu na dwie części. Na każdego przypadło sprawiedliwie po równym kawałku.

Rozeszli się następnie. Trzech poszło w dół, czwarty — w górę strumienia. Queluz wziął się najpierw do rozsiadania muła. Rzucił mu przygarść kukurydzianych kaczanów, ale nie zdejmował pęt. Następnie, rozwiązał sakwy podróżne i powyjmował potrzebne narzędzia. Micha cedrowa, sita i drag żelazny do podważania głazów stanowiły jedną grupę narzędzi. Na drugą grupę składały się kilof i łopata, które zrecznie nabił na gotowe trzony. Tak zaopatrzony zeszedł bez zwłoki w znany mu już parów.

Tutaj zaczął po namyśle robotę od przeciwniegi brzegu strumyka. Chodziło o wytyczenie zasięgu złota. Końcem oskarda wydłubywał pełen kwarcu żwir tuż nad piaskowcową podłogą i przemyczał w bieżącej wodzie albo w misie. Doszedł wkrótce do przekonania, że ów brzeg rzeczułki jest jałowy. Wrócił zatem do porannego stanowiska. Na przekór przysłowiu o trudnościach każdego początku okazało się, że pierwsze kroki były trafniejsze. Parę metrów w górę wąwozu przedpadł wszelki ślad po złocie.

Po ustaleniu położenia złota przystąpił do roboty. Wkrótce na brzegu powstał otwór, który zaczął przybierać kształt coraz głębszej i obszerniejszej wnęki, aż dziura wydłużała się w rów sięgający niemal do ramion.

Znużyło go jednak wkrótce powolne i mordercze przesiewanie i przemycanie żwiru. Po co ta mitrega kiedy z każdą pędzią przybiera coraz więcej złotych ziarenek i stają się coraz większe. Wybierał się palcami i wrzucał do kapelusza, który zaciężył mu wnet w dłoni. Niektóre okruchy dochodziły do wielkości końskiego zęba.

Był to dopiero przedśmiatek sezamu. W pewnej chwili żelazny drag, wbity w osypującą się ścianę, trafił w coś twardego i drgnął. Człowiek pracował na klęczkach. Odgarnął rękoma nadwierzoną caliznę; w ciemni otworu aż pojaśniało od nagłego blasku. Do kolan potoczyło się kilka złotych brył — jedna z nich jak odlana na podobieństwo cielecego języka.

Ziemia wydała to co przedtawiła w ciągu wieków i tysiącleci. Złomem kwarcowego szkliwa, wydartym z rodzimych, przemieszanych ze złotem pokładów, potoczyły się cyklopie, układające galerie i piętra dzisiejszej Itatingi. W miejscu ostatecznego spoczynku, w zakamarku którejś z warstw, ciasto kwarcowe uległo zwietrzeniu a drogocenna zawartość wysypała się jak rodzynki, aby osiąść w niewielkim zagłębieniu piaskowej płyty.

Garimpeiro patrzył jak urzeczony. Brakło mu sił, żeby wyciągnąć dłoń po dziwny, złoty ozór. Osunął się z kolan na rumowisko.

— Co się ze mną dzieje? — szepnął.

Po ciele przeszły mu ciarki, a na czoło wystąpiły krople potu. Zdjął go strach. Z góry — miał pewność — podglądały go czyjeś pożądliwe oczy. Czuł to spojrzenie na sobie, paliło mu głowę, kark, grzbiet.

Wycofał się z dziury powoli, ostrożnie, pełną.

— Skąd się bierze ta fala naglej, niesamowitej bojaźni? — rozważał. — Czyżby mię

osołomiła ta kupa złota? Obawa, co z nią pocznę? Niepokój, że ją stracę? Że mi ją wydrą? Swoją drogą to tak bywa, że ile razy wpadnie do ręki coś poważniejszego, np. kilkokaratowy diament, szczególniejszy karbonat albo złota grudka zawsze stają przed oczyma chimery.

Na wszelki wypadek pobiegł po strzelbę ukrytą w krzakach i odpiął z juków dwie torby z mocnej skóry.

Gdy wrócił do wykopu spojrzął mimo woli na butwiejącą kłodę powalonego drzewa, pod którą znajdowała się jedna z krawędzi wyrobiska. A cóż tam takiego leży na pniu. Przypatrzył się lepiej i zdrtętnął. Na drewnie spoczywał grzechotnik grubości przedramienia. Gad wygrzewał się rozciągnięty leniwie, cały oddany trawieniu pokniętej niedawno zdobyczy, widocznej jako wydatne zgrubienie na przedniej części tułowia. Wzorzyste, brzo-żółtawe plamy, rozmieszczone wzdłuż grzbietu, czyniły płazę prawie niedostrzegalnym na obranym legowisku.

— A to z twoich ślepi, bestio, siedł na mnie — en lek! — zawołał Queluz, przecinając żmłot ostrzem łopaty, a następnie odrabując o szastających się na ślepo zwojów trójkątną głowę i sznur rogowatych grzechotek u ogona. Nie dość mu było tego. Ciął dalej i kierresował zapalczywie, aż z grzechotnika zostały oddzielne kęsy. Zdawało mu się, że siekac i tłukac bez opamiętania zabija własny lek, rozprawia się z nim ostatecznie.

Teraz zabrał się do pakowania złota. Garimperskie żniwo powędrowało do sakw. Polyskujący gdzieniegdzie w piasku drobniak nie interesował go. Zachrząscyli skórzane wory, gdy uniósł je w górę. Poobwijane były pierścieniami rzemieennego lasa i związane dogodnie do przewieszenia przez siódło. Narzędzi pracy nie zabierał, zostały na rumowisku, obok miski z niedopłukanym piaskiem.

— Trzeba się spieszyć! — przynaglał sam siebie. — Po co zwiększać ciężar, który i tak jest duży.

Było dopiero koło południa, kiedy osiodłany na nowo wierzchowiec ruszył z kopyta. Postój w zacisznej dolince wśród bezludnych stepów trwał nie dłużej, niż trzy godziny i oto garimpeiro opuszczał to miejsce z łupem bogatego, nader bogatego bamburra.

Należało się rozstać z towarzyszami pod wodospadem. Tym razem można już śmiało, a nawet wypada podjechać bliżej. Wbrew początkowemu zamierzeniu nie zrobił jednak tego. Nie na rękę mu było kumanie się z kamratami, z którymi dzielił się, gdy sam miał mało, a którym zawdzięczał to, co miał teraz. Zmora lęku wlokła się za szczęśliwcem, jak cień, choć myślał, że ubił ją w wadole.

Z przeczornej odległości rzucił w stronę trójki garimpejrow:

— Co było to było. Resztę zostawiam dla was. Utlukłem grzechotnika. Miejcie się na baczności, gdyż zwykli chodzić parami. Trzymajcie się zdrowo!

Po chwili postać jeźdźcy znikła za najbliższym wzgórzem.

2

Gdy Antonio Casagrande opowiadał o skarbie z parańskiej dolinki, wyhandlowanym za kciuk tytoniu, słuchacze uważali to opowiadanie za zwykłą gadkę garimperską.

Niech sobie stary baje! Tematu mu nie braknie, boć zdeptał ścieżyny seringalów i płuczek od wybrzeży Atlantyku aż po przedgórza Kordylierów, zbierając po drodze mlecz kauczuku, kamyki, rozumy i bajdy.

Wieść znad Tibagi przewodziła z nim

setki mil. Seu Tonico kopał teraz kryształ górskie w stanie Goiás. Kopał i nie kopał, albowiem w Broto, gdzie osiadł od pewnego czasu miał wiele innych kłopotów na głowie.

Broto tj. Pączek... Nie wiem, czy *corruptela* tej nazwy dochowała się do dnia dzisiejszego. Obozowiska w górach Kryształowych cechuje trwałość jednodniowych motyli. Za mojego pobytu w tamtych stronach nie było jeszcze pachnącej świeżym tynkiem, nowoczesnej Brasillii, ale istniała już Goiania, do której przeniósł się rząd stanowy, krępowany ciasnotą pomieszczeń w dawnym garimpie, za jakie uchodziło miasto Goyaz u stóp Serra Dourada i było m. in. Broto, położone u brzegów Imbirry, nie tak daleko od działu wód, rozgraniczającego Amazonię od zlewiska La Platy.

Nazwy obozów garimperskich trąca rubasznoscią żołnierską, "szalasami starych bab", jak np. w Rio das Velhas, więc skąd się nagle wzięła nazwa kwiatu? Nie ma co do tego wątpliwości. Broto uzyskało imię od pączków tj. dziewcząt, które zleciały się tu licznie.

Mieszkały tam wyłącznie rodziny z racji powstałej w Broto pierwszej spółdzielni wywórczo-spożywczej, pieczętującej się godłem: "Słońce wschodzi dla wszystkich", która dawała pierwszeństwo kandydatom żonatym, dopuszczając kawalerów dopiero wtedy, gdy dokuczyła im samotność.

W ciągu dnia nieforemny rynek osiedla pozostawał na łasce kur, psów, kóz i prosiaków. Spał pośród porozrzucanych bez ładu i składu kulawych chatynek, ulepionych z chrustu i gliny, krytych trawą, a strzegł go zwiał wysokich nasypisk i stożków, które dźwignęły się z odkrytek łopata po łopacie. Okna, drzwi, płoty i ogródki czekały jeszcze na pomysłowego wynalazcę. Cóż kiedy niegodziwcowi wcale się nie spieszyło podobnie jak karoś się na drewnianych kołach, która tydzień temu, skrzypiąc i bucąc, pojechała w szesnaście wołów za siódmą rzekę po sól, cukier, mąkę i inne łakocie na potrzeby spółdzielni.

W Broto, jak i w innych obozowiskach, pierwsze wieczorne ożywienie przynosił obrachunek dziennego zysku. Żyjącemu z dnia na dzień garimpejrowi pilno jest wiedzieć przed położeniem się do hamaka, czy może liczyć na jutrzejszą miskę fiżonu. Gdzieindziej dowiadywał się o tym u sklepikarza lub patrona, w Pączku obliczała to spółdzielnia pod okiem prezesa Antonia Casagrande.

Przynoszono zatem kryształowe sześciany i te mniejsze wielkości kieliszka i szklanki i te większe o wymiarze flaszki, dzbanka, czasem nawet wiadra. Każdemu okazowi towarzyszyło pochlebne słówko zdającego, lecz nie miało ono żadnego znaczenia dla brakarza, który zwilżał kamienie w wodzie, badał je pod światło, stosując własną ocenę w sortowaniu. A wynik czarodziejskiej celebracji bywał taki, że niejeden biedak pytał się z żalem po co mu było dźwigać ciężki worek z mało wartościową *missanga*, skoro wystarczyło przynieść w kieszeni jedno *ovo d'ema* (jajo strusie), cenną odmianę kryształu.

A potem łuny rozpostarte nad Cristaliną podawały więc o nieodzownej pączkowskiej wieczorynce. Strzelały w górę syczące race, pękając z donośnym hukiem i wyczarowując ogniste węże lub wodotryski jarzących się iskier. Był to znak podrywający na nogi kawalerską Imbirę, *katry* i *banquety*, położone na brzegach tej rzeki od Starego Cmentarza (Cemitério Velho) po Księdza Pawła (Padre Paulo).

PAWEŁ NIKODEM
(D. c. n.)

MIASTO, KOBIETA I RZKA

AGUINALDO SILVA

Lubiła włóczyć się po ulicach, wędrowała powoli, zatrzymując się często. Interesowało ją wszystko. Czasem przyglądała się wystawom, czasem zaś ludziom, a spojrzenie jej było wówczas takie dziwne, że przechodniom robiło się nieprzyjemnie.

Niekiedy uśmiechała się, lecz uśmiechem podobny był do uśmiechu obłąkanej.

Mozna ją było spotkać wszędzie, lecz najczęściej na brzegu rzeki przepływającej przez miasto. Siedziała nieruchomo, w męskiej marynarce narzuconej na sukienkę i wsłuchiwała się w cichy szmer przepływającej wody. Kiedy morze wdzierało się do koryta rzeki rzeka rosła, wody jej stawały się mętne, zielonkawe, jak gdyby zastygłe i to było piękne. Potem morze odchodziło, muliste fale rzeki powracały.

Woda niesła wiele rzeczy: martwe żółtą, gałęzie, zielone liście. Czasem przemknął sękaty pień albo coś nieokreślonego, mglistego.

Kobieta wpatrywała się w rzekę zachłannie, chciwie. Dopiero, gdy nogi zaczynały jej drętwieć, a krew napływała do twarzy wstawała i kierowała się do miasta. Miasto było wielkie i ona należała do niego.

Życie, to chodzenie, więc szła. Szła przez miasto raz tam, raz z powrotem. Spoglądała na morze i statki. Głos syren okrętowych przejmował ją dreszczem. Kręcący się po przystani mężczyźni zagadywali ją, zaczepiali. Jakiś marynarz zaproponował, żeby weszła na statek. Odmówiła, bała się żeby nie wywieziono jej daleko.

Siadała na ławce na skwerze — przed nią rozpościerał się port. Przemykając oczy krzyżowała ręce na piersiach. Nagle wybuchała śmiechem. Śmiała się z mrówek, łączących po ziemi, liściach i ławce. Śmiała się ze wszystkiego, tylko nie z ludzi, gdyż bała się ich.

Później zaczynała na nowo wędrówkę. Posuwała się w górę lub w dół rzeki. Miasto było podobne do rzeki, tak jej się przynajmniej zdawało.

Czego unikała to dzielnic mieszkaniowych, nie zachodziła tam prawie nigdy, a to z powodu dzieci. Zaczepiały ją wołając: "Detefon!" Całe miasto znało ją jako Detefon. Nienawidziła tego przezwiska, w odpowiedzi wykrzykiwała obelgi. Potem nagle cichła, ogarniała ją zamyślenie.

W dzielnicach mieszkaniowych były też psy, którymi ją szczuto i kobiety wyglądające przez okno, kobiety o wielkich oczach — nie znosiła ich.

Z rana nikt jej nie widywał. Zjawiała się z chwilą, gdy rzeka przybierała pod wpływem morza, zdarzało się to o jedenastej. Można było wtedy zobaczyć jak stoi na brzegu: dalekie spojrzenie, marynarka sięgająca prawie kolan, czerwona torebka w ręku. Siadała i patrzyła: śmieci odpływają, śmieci przyplwają. Cudnie.

Po południu — gorące słońce, upał, morze, podmuch wiatru. Zatrzymywała się raptownie po środku ulicy, oddychała głęboko, wciągała w siebie zapach morza. Dźwięk klaksonu wyrwał ją z ekstazy, odskakiwała przestraszona.

Ale za chwilę zaczynała się znowu uśmiechać.

Potem nadciągała noc, głęboka noc miasta, przegłądającego się w wodach czerwonych od świateł. Kobieta wędrowała, przystawała i wędrowała. Mijający ją ludzie wołali: "Detefon!" Uciekała w dół rzeki, w górę rzeki. Tam nikt jej nie dokuczał.

Nadszedł jakiś mężczyzna, usiadł koło niej. Spojrzała na niego i powiedziała:

— Wiesz, pewnego razu przyplwło morze i ryby i ja coś powiedziałam. A później miałam dziecko, takie prawdziwe, ale zabrali mi je.

Mężczyzna spojrzał na nią i uśmiechnął się. Taka śmieszna ta wariatka! Więc ona zaczęła płakać. Noc stawała się coraz głębsza, morze pomrukiwało, na dalekim statku zapalało się i gasło żółte światelko.

BADACZ WYSP OCEANII

Dok. ze str. 14

nie i chcieli przenieść jego trumnę, nie znaleziono w niej szczątków zwłok zmarłego, a tylko trochę garderoby. Przypuszczano, że tubylcy przenieśli zwłoki Kubarego, którego darzyli miłością i uznaniem, do jakiegoś czczego przez nich miejsca.

Zasługi Kubarego dla badania flory i fauny wysp Polinezji były bardzo wielkie. Prace swoje zamieszczał w "Tygodniku Ilustrowanym", "Wszechświecie", "Ateneum" i "Wędrowcu" oraz w wielu czasopismach obcych. Korzystali z nich wybitni uczeni polscy, niemieccy i angielscy. Niemiecki etnograf Augustin Krümer, który dedykował Kubaremu monografię o wyspach Palau, pisze: "Dla zbadania Wysp Karolińskich Kubary położył nieśmiertelne zasługi".

Nazwisko jego nadano odkrytym przez niego okazom fauny i flory oraz jednej z gór na Nowej Gwinei. Wystawiono mu pomnik grobowy na Ponape, największej z wysp Ka-

Później zaczął się rodzić dzień. Czula potrzebę mówienia, dyskusowania z kimś. Szła do miasta, stawiała koło ulicznej latarni, gadała wznosząc ramionami ku niebu i spoglądając na zawieszzone wysoko gwiazdy.

Uśmiech, ziewnięcie i uśmiech.

No, czas już był na nią. Szła prędko. Gdy mijala bazę morską, stojący na warcie marynarz krzyknął coś do niej. Nie odpowiadając zsalutowała mu. Na starym dworcu wdrapała się do wagonu towarowego i ułożyła w kącie na podłodze. Wagon był porzucony na bocznym torze, rozklekotany. Przez dziurę w dachu wdzierał się księżyc i kładł się koło niej. Taki żółty płomyk. Przemykała oczy, nadchodził sen, nadchodził małymi skokami, coraz bliżej, bliżej... Usypiała wreszcie spokojnie, aby obudzić się o jedenastej, aż kiedy morze zacznie się znowu wdzierać do rzeki.

Przełożył: JAN KRAWCZYK.

rolinckich. Zona jego zmarła w 1937 r., córka Bella, która w zakonie przyjęła imię siostry Humbeliny, była nauczycielką w Singapurze.

STANISŁAW SZENIC

Największe i najpopularniejsze pismo polskie w Kanadzie

ZWIĄZKOWIEC

wydawane dwa razy w tygodniu
które zawsze wyczerpująco informuje o
ostatnich wydarzeniach w Kanadzie,
Polsce i w świecie.

Prenumerata roczna:

w Kanadzie \$ 6.00, zagranicą \$ 7.00

Po bezpłatne numery okazowe pisać do:

POLISH ALLIANCE PRESS

1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont.

Tel.: LE. 1-2491 — CANADA



W ośrodku wypoczynkowym w Spale, dawnej siedzibie letniej cesarza rosyjskich (woj łódzkie).

Sienkiewicz i Wilhelm II

Autor "Krzyżaków" wielokrotnie zabierał głos na temat stosunków polsko-niemieckich w zaborze pruskim. W licznych artykułach, odezwach i protestach, tak licznych, że nie sposób tutaj wszystkich wymienić, piętnował dyskryminacyjną wobec Polaków politykę pruskiego nacjonalizmu, ukazywał światu prześladowania, krzywdy i niesprawiedliwości z jakimi na każdym kroku spotykali się Polacy w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu.

Pierwsze z tych wystąpień publicystycznych miało miejsce w roku 1895. Redakcja berlińskiego tygodnika "Gegenwart" zaprosiła wówczas dwudziestu najgłośniejszych europejskich pisarzy i artystów, a wśród nich i Sienkiewicza, do wypowiedzenia na temat polityki Bismarcka.

Sienkiewicz odpowiedział na ankietę. Podkreślił między innymi że rozwojowi potęgi niemieckiej towarzyszyła za rządów Bismarcka szeregowa niesprawiedliwość i krzywda wielu ludzi.

Artykuł Sienkiewicza wydrukowany w "Gegenwart" i przedrukowany szybko przez prasę polską, wywołał żywe poruszenie zarówno wśród Polaków jak i Niemców.

Gdy w roku 1900 niemiecka pisarka baronowa Berta Suttner i profesor Foerster zaproponowali Sienkiewiczowi podpisanie odezwy potępiającej Anglię za prześladowanie południowo-afrykańskich Burów — autor "Trylogii" odpowiedział listem otwartym w którym wezwał niemieckich autorów odezwy by nie szukali okrucieństwa i niesprawiedliwości w dalekiej Afryce, gdy w ich państwie, tuż obok nich znacznie okrutniej prześladowani są Polacy z Prus, Poznańskiego i Śląska.

I znowu wypowiedź ta — przedrukowana skwapliwie przez prasę angielską, rosyjską i francuską, wywołała spore poruszenie w Europie. Nie zapominajmy, że Sienkiewicz był w tym czasie jednym z najślawniejszych pisarzy świata.

W roku 1901 ogłosił Sienkiewicz artykuł "O gwałtach pruskich" — znowu przedrukowany przez prasę polską pod zaborem rosyjskim i austriackim a przez prasę prawie całego świata cytowany w streszczeniach i wyjątkach. W latach następnych wielokrotnie jeszcze wypowiada się na ten sam temat w prasie nie tylko polskiej ale również francuskiej i angielskiej, ba nawet rozpisuje ankietę w której zabiera głos kilkudziesięciu najwybitniejszych ówczesnych mężów stanu, artystów i uczonych z całego świata, potępiając zdecydowanie politykę pruskich zaborców na naszych ziemiach.

Najgłośniejszym jednak ze wszystkich wystąpień Sienkiewicza był list otwarty do Wilhelma II zamieszczony w prasie obcej w końcu listopada 1906 roku. Sienkiewicz zdobywszy już ogromną popularność, spotęgowaną jeszcze literacką Nagrodą Nobla jaką otrzymał w 1905 roku, wysłał do największych dzienników angielskich, amerykańskich, francuskich, włoskich i niemieckich list w którym zwracając się do Wilhelma II pisał m. innymi: "... ziemię

wchodzące w skład państwa pruskiego stały się przybytkiem niedoli, która pod panowaniem Twoim wzrosła jeszcze, niestety, i spotężniała. Wasza Cesarska Mość! miara w prześladowaniu ciał i dusz jest przebrana!

Bezduszne bowiem i nieludzkie jest takie prawo, które nie bacząc na to, że nawet zwierzę każdy musi mieć swe legowisko, zabrania Polakowi wnieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głowę...

...Szkoła a w niej nauczyciel, w Królestwie Pruskim... jest jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić, choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką. I oto z każdym rokiem więcej w tych szkołach też, więcej świstu różeg, więcej męczeństwa...

... słowa Manifestu Królewskiego z roku 1867 zaręczają polskim poddanym, że przez wcielenie ich do północno-niemieckiego związku ani ich język, ani ich religia nie doznają uszczerbku i że wewnątrz związku mają pozostać Polakami, zachować język i obyczaje. Jakże te królewskie słowa i obietnice zostały dotrzymywane?..."

Interwencja ta nie wywołała — jak to zresztą Sienkiewicz przewidział — żadnych zmian w polityce pruskiej, ale cel swój znakomicie spełniła. Przez kilka dni cała prasa europejska przedrukowała tekst listu, wypowiedzi, artykuły i komentarze. Opinia publiczna całego świata mocnym głosem potępiła pruski nacjonalizm.

Karol Strug

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 SÃO PAULO

w powstaniu węgierskim. Tylko, że konie Gepperta na jego ostatnich obrazach, to już nie ciężkie, zimnokrwiste, kudłatonogie ardeny i perszerony z hal paryskich, w które zaprzęgał artylerzystów wielkiej armii emigrant Michałowski i na które wbrew logice wojennej, wsadzał nawet szwoleżerów gwardii. Nowe konie Gepperta rzucone plamą albo zarysowane delikatnie czarną, graficzną kreską, to wysmukłe, wyścigowe folbluty albo cienkonogie, ośmnastowieczne, austriackie ćwiczone w dygach i zwrotach tanecznych i przysiadach, garbonose lipokacanery. Konie te służą zresztą Geppertowi głównie za pretekst do zestawienia barw. Ten sam porcelanowy koszyk z kwiatami, raz uśmiecha się delikatnym pastelem różowego rokoka, raz bucha granatem i czerwienią niby sukmana gospodarska młodopolskiego "Wesela".

Konie, niebo, kwiaty, wszystko jest tylko plamą. Nie tylko natomiast pretekstem malarskim są na nowych obrazach Gepperta świeże przez niego odkryte kobiety. To królewna z bajki, bliska siostrzyca ośmnastowiecznych pasterek, to dziewczyna o potężnych, modnie opalonych biodrach. Czasem przemknę się refleks przeszczepionego do wrocławskiego muzeum malarskiego bajczarza z Krakowa Wojtkiewicza.

Rektor opowiada, że dwie podróże stypendialne na Zachód, gdzie zetknął się z nowymi prądami, dały mu nowego bodźca. Ale jeśli tę nową sztukę potrafił włączyć tak naprawdę po mistrzowski do swojej, to nie przypadek. Było to możliwe tylko dlatego, że Geppert ma za sobą okragłe pół wieku mozolnej pracy malarskiej.

Stara Polska to kraj baroku. Śląsk podobnie jak Czechy to dziedzina rokoka. W najśliczniejszej z rokokowych kamienic wrocławskiego rynku zamieszkał państwo Geppertowie. Nic dziwnego, że coś z kwiecistości uśmiechniętego rokoka wygląda i z płócien malarza. Tylko, że to geppertowe rokoko jest jakby rozrztarte w retorcie malarskiej alchemii z zalatującymi grafomaństwem lat dziewięćsetnych przymiotnikami, jak róży, perłowy, świetlany.

Zbiegiem okoliczności okna państwa Geppertów wychodzą na wrocławski rynek właśnie tam, gdzie stoi pomnik Fredry. A ogromny rektor to postać na wskroś fredrowska. Mógłby w każdej chwili zagrać bez charakterystyki pułkownika czy majora (bo tego nie pomnę) w "Damach i Huzarach". Geppert aż prosi o portret. Tylko, że nie bardzo wiem, kto z dzisiejszych malarzy namalowałby z odpowiednim rozmachem ten potężny jego nochal i te nieco po mefistofelowsko skośnie, krzaczaste brwi. Gepperta potrafiły sportretować chyba właśnie jego mistrz Piotr Michałowski. Nie żyje, niestety, on jednak już od stu przeszło lat.

Maria Pruszyńska

MALARSTWO GEPPERTA

Słyszałam kiedyś, że kiedy Pan Bóg skończył z malowaniem pior pawiom i skrzydeł brazylijskim motyloom, kazał aniołom wypłukać pędzle w morzu Egejskim. Dlatego jest ono takie niebieskie. Wszystko możliwe.

Zwiedzając ostatnią wystawę Eugeniusze Gepperta we Wrocławiu, doszłam do przekonania, że kiedy przyszło do mycia tej palety, uczniowie anielscy musieli się chyba polenić i zamiast ją wyskrobać, cisnęli do nadodrzańskich borów. Tylko bowiem odnalezieniem zagubionej, nieziemskiej palety można sobie wytłumaczyć palające wewnętrznym światłem błękity i zielenie siedemdziesięciodwuletniego, emerytowanego od lat już kilku rektora wrocławskiej akademii. Zwiedzając wystawy dzieł eksponaty na te, które chciałabym kupić, które mam pokusę po kryjomu zabrać i na te, których bym nie wzięła, gdyby mi nawet za darmo dawano. Muszę wyznać uczciwie, że mnie dotąd ani nie grzało ani ziębiło malarstwo starego rektora. Uważałam je dotąd trochę za trzecią wodę po Piotrze Michałowskim. A od jego czasów chemia farb poszła naprzód w siedmiomilowych butach i impresjoniści przyzwyczaili nas do szerokiej i bogatej gamy kolorów. Kolor ten odnalazł w całej i bezwzględnie własnej pełni właśnie Geppert. Zdecydowałam dlatego, że obęjdę się bez czapki, bez rękawiczek i jesionki i że będę jadła suchy chleb popijając go wodą z warszawskich filtrów, ale kupię choć jeden obraz Gepperta. Trudność polegała w wyborze. Główna różnica obrazów to gama kolorów. Temat nieważny.

Konie płaczą się dalej po obrazach Gepperta. Wniosła je do jego sztuki tradycja kawalerska tej żołnierskiej i ziemiańskiej, galicyjskiej rodziny. Jeden z Geppertów bił się naturalnie konno w szeregach księcia Józefa. Drugi był kawalerzystą austriackim. Dziad Jędrzejewicz miał stadninę. Pradziad bił się z gen. Bemem



EKSPLOZJA DEMOGRAFICZNA AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

(Dokończenie z nr. 30)

Obecnie, jeżeli obserwacje nie wprowadzają nas w błąd, znajdujemy się w przededniu zmiany tej biernej i w zasadzie sprzyjającej dużej rozrodczości postawy, zmiany, której jawna konieczność staje się coraz bardziej nagląca, gdyż chodzi o osiągnięcie rozwoju poszczególnych krajów i całego kontynentu, rozwój zaś ten jest zagrożony na skutek chaotycznego wzrostu ludności. Na razie, jeszcze w ciemnościach, poszukuje się najstosowniejszej recepty społeczno-gospodarczej na rozwiązanie sytuacji demograficznej.

ŚWIATŁA I CIENIE

Zanim dojdziemy do jakiegoś wniosku w tej dziedzinie musimy najsmprzód zbadać mechanizm wzrostu demograficznego z punktu widzenia społeczno-gospodarczego.

Nie byłoby rzeczą słuszną, gdybyśmy wzrost demograficzny potępiili bez reszty. Zwiększenie się potencjału ludnościowego rozszerza rynek konsumpcyjny i pobudza produkcję, powoduje zaludnienie wielkich i prawie pustynnych obszarów regionu, którego waloryzacja nie może być odwlekana bez końca.

Dla udowodnienia korzyści związanych ze zwiększeniem się populacji wystarczy przytoczyć objawy przeciwstawnej sytuacji to jest stagnacji dynamiki przyrostu naturalnego. Występują wówczas: zmniejszenie rozmiarów rynku, brak bodźców do użycia kapitału, brak ducha inicjatywy, konkurencji i nowatorstwa i wszystkie inne elementy marazmu.

Należy jednak zbadać również odwrotną stronę medalu to jest szkodliwe konsekwencje, zwłaszcza krótkoterminowe, gwałtownego, nadmiernego wzrostu demograficznego. Przede wszystkim należy tu uwzględnić czynnik zakłócający możliwość efektywnego i szybkiego wzrostu dochodu narodowego na głowę ludności. Czynnik ten działa w praktyce w dwóch kierunkach: a) przesuwając poważne środki gospodarcze na cele natychmiastowego spożycia — trzeba bowiem wyżywić, ubrać i zapewnić dach nad głową wzrastającym kontyngentom ludności i b) przesuwając szczerpie kapitały narodowe z inwestycji produktywnych na inwestycje konsumpcyjne albo nawet na cele o zwykłym charakterze społeczno-demograficznym.

Stosownie do opinii wyrażonej przez Alfreda Sauvy przy indeksie wzrostu ludnościowego o wyższym od 2,5% rocznie należy przeznaczyć 10% dochodu narodowego na inwestycje demograficzne we właściwym tego słowa znaczeniu i ponadto 1% na rozbudowę urządzeń zdrowotnych i wychowawczych. Tak więc jeżeli chcemy nie tylko utrzymać poprzedni poziom życia, lecz również podwyższyć w pewnej mierze dochody indywidualne okazuje się konieczne zwiększenie w najszerszym zakresie dochodu narodowego i równocześnie przeznaczenie jak największej części kapitałów dla celów oszczędnościowych we wszystkich formach.

Oczywiście, że w trudnych warunkach w jakich znajduje się obecnie Ameryka Łacińska, osiągnięcie obydwu tych celów programowych musi natrafiać na duże przeszkody.

Inne i równie trudne zagadnienia łączą się z wpływem jaki wywiera wzrost ludnościowy na przemianę piramidy demograficznej o ile chodzi o grupy różniczkowane według wieku. Zjawisko to działa bowiem w ten sposób, że:

wzrastają kategorie ludności gospodarczo nieproduktywne (zarówno młodzieży, jak i grupy starszej), które wykazują pokąsną ilość jednostek konsumpcyjnych, a bardzo znikomą — jednostek produkcyjnych,

zmniejsza się proporcjonalnie kategoria gospodarczo czynnych i fizjologicznie dojrzałych jednostek, na których barki spada obowiązek utrzymania obu kategorii gospodarczo nieczynnych.

Procesy wzrastającego "odmłodzenia" ludności sprawiają, że na rynku pracy zjawiają się wzrastające kontyngenty młodzieży, które poszukują pracy zarobkowej i których włączenie w obręb gospodarstwa spotyka się z coraz większymi trudnościami. Wynika to zarówno z na ogół niekorzystnej sytuacji rynku pracy w rolnictwie, jak i z coraz silniejszego impaktu, wywieranego na przemysł przez współczesną rewolucję technologiczną (gwałtowna mechanizacja produkcji przemysłowej, a nawet początki automatyzacji, co powoduje spadek zatrudnienia, zwłaszcza o ile chodzi o siłę roboczą niewykwalifikowaną).

Zarysowujące się w tych warunkach bezrobocie młodej generacji jest tylko jedną z form, co prawda szczególnie alarmującą, bezrobocia o podkładzie demograficznym. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że z biegiem czasu zostanie zwichnięta zupełnie bardzo już zresztą problematyczna równowaga pomiędzy podażą i popytem pracy.

K o n k l u z j e

Dynamizacja polityki siły roboczej i rewizja całokształtu ustawodawstwa społecznego, dotąd o charakterze wyłącznie rozdzielnym, zarządzania, zmierzające do ograniczenia urodzeń, umiarkowane i skromne, dalekie od zasad maltuzjanizmu.

Nie wydaje się, aby zachodziła potrzeba podjęcia polityki demograficznej w duchu radykalnego i sztucznego ograniczenia wzrostu ludności poprzez "kontrolę urodzin". Tego rodzaju drastyczne środki doprowadziłyby do interwencji państwowej w sferze, która, z natury rzeczy, jest przedmiotem wolnych decyzji indywidualnych każdej rodziny. Niezależnie nawet od zrozumiałych wątpliwości natury moralnej, które musiałyby nasuwać podobne zarządzenia maltuzjanistyczne, skuteczność ich wydaje się co najmniej wątpliwą.

Niedawne doświadczenia ustawodawstwa "eugenicznego" w Japonii i w Indii wykazują, że tylko poprzez sterylizację i spędzanie płodu na większą skalę

można było w pierwszym z tych krajów uzyskać pewne wyniki antygenetyczne, przy czym kampania o charakterze dobrowolnym i bardziej umiarkowana w drugim z nich spaliła niemal zupełnie na panewce. Nie przypisujemy też nadmiernego znaczenia niektórym ustawom socjalnym, czy podatkowym, które mają na celu przyczynienie się do wzrostu rodzin, czy ilości urodzeń. W gruncie rzeczy wydaje się nam co najmniej problematyczna praktyczna skuteczność środków normatywnych, stosujących się do tej dziedziny bez względu na to, czy przyświecają im cele progenetyczne, czy antygenetyczne. W każdym razie należy się wystrzegać inicjatyw skierowanych przeciw ustawodawstwu o zasiłkach rodzinnych, czy zarobkach rodzinnych, których racja bytu nie może być zakwestionowana pod kątem widzenia rzekomych następstw tego ustawodawstwa w zakresie wzrostu potomstwa. Jest ono bezwzględnie słuszne i sprawiedliwe.

Co jednak, naszym zdaniem, nie może podlegać żadnej dyskusji to konieczność rozwinięcia szerokiej akcji wokół zapewnienia młodej generacji, która stanowi ok. połowy ludności Ameryki Łacińskiej, jak najkorzystniejszych warunków rozwojowych.

Należy za wszelką cenę starać się zwiększyć szanse zatrudnienia tej młodzieży poprzez rozszerzenie odpowiednich możliwości na rynku pracy co najmniej w proporcji odpowiadającej rytmowi wzrostu kontyngentów młodocianych, które corocznie zwiększają podaż siły roboczej. Dążąc do tego celu będziemy nawet zmuszeni usuwać na dalszy plan wymogi technologiczne, czy warunki rentowności, które mogłyby ograniczać takie mety intensywnej polityki zatrudnienia w duchu doktryny keynesowskiej. Wszystkie plany rozwoju gospodarczo-społecznego muszą być podporządkowane w całości tym zamierzeniom. Muszą być one tak ukształtowane by mogły zapewnić stan pełnego zatrudnienia.

Ogromne zagęszczenie ludności rolnej, wywołujące masową ucieczkę ze wsi do miast, z katastrofalnymi następstwami tej migracji dla obu stref: wiejskiej i miejskiej sprawia, że reforma agrarna nabiera ogromnej wagi. Mogłaby ona osłabić naciski ludności proletariatu rolnego i sparaliżować chaotyczne ruchy migracyjne.

Co się tyczy polityki pracy to powinna być ona poddana daleko idącej rewizji, z tym, że musi zmierzać w przyszłości do osiągnięcia następujących celów:

rozszerzenia i usprawnienia programów szkolenia zawodowego, które mogą się bardzo przyczynić do polepszenia szans zatrudnienia,

powołania do życia organów pośrednictwa pracy,

usunięcia przy pomocy rewizji ubezpieczeń społecznych i instytucji "stabilizacji" barier, utrudniających nalezycie sprawną wymianę pracowników starszych przez robotników młodszych i o większej produktywności.

To jeszcze nie wszystko. Przy podziale funduszy przeznaczonych na cele społeczne należałoby przesunąć punkt ciężkości rozwiązań, obowiązujących w

POLSKA "MASZYNÓWKA"

Polska "maszynówka", czyli przemysł maszynowy — stanowi najbardziej chyba udane "dziecko" powojennej gospodarki. Tu były kierowane największe nakłady inwestycyjne; tu też osiągnięto najlepsze efekty. Obecnie pod względem produkcji niektórych ważniejszych wyrobów polski przemysł maszynowy znajduje się na następujących miejscach na świecie: w produkcji statków — na 9 miejscu, ale jeśli chodzi o statki rybackie — to na drugim miejscu; w produkcji samochodów ciężarowych — na 8 miejscu; w produkcji samochodów osobowych — na 12 miejscu; w produkcji odbiorników radiowych — na 9 miejscu; w produkcji odbiorników telewizyjnych — na 11 miejscu.

Bieżący plan nałożył na polski przemysł maszynowy bardzo duże zadania. Zaplanowano wzrost produkcji o 86,1 proc. Tak poważne zamierzenia wynikają z aktualnej roli przemysłu maszynowego w Polsce. Musi on zabezpieczyć środki produkcji dla podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, a w szczególności rolnictwa, energetyki, chemii i budownictwa; ma także odegrać o wiele poważniejszą niż dotychczas rolę w eksporcie. Powinien wreszcie zabezpieczyć równowagę pomiędzy popytem i podażą w zakresie wszystkich podstawowych artykułów trwałego użytku, które produkuje.

Największy przyrost produkcji ma być uzyskany w przemyśle maszyn wókienniczych (wókiennictwo w tym okresie dokonać ma poważnych postępów w dziedzinie modernizacji) — o 153 proc., w przemyśle elektronicznym — o 150 proc. maszyn rolniczych — o 112 proc. obrabiarkowym — o 105 proc. i budowy maszyn ciężkich — prawie dwukrotnie. W 1965 r. produkcja przemysłu maszynowego ma być ponad 40 razy większa niż przed wojną. Eksport tej gałęzi produkcji ma być dwukrotnie większy niż w r. 1960: sprzedaż kompletnych obiektów wzrośnie blisko 2,5 raza — do sumy 72 mln dol., 5-krotnie ma być powiększony eksport artykułów powszechnego użytku. Także wywóz wyrobów przemysłu okrętowego i taboru kolejowego poważnie wzrośnie.

W perspektywie mają jednak w eksporcie przemysłu maszynowego zasadnicze zmiany strukturalne. Zjawisko to już teraz się uwiadcza w rozszerzeniu wywozu artykułów, których produkcja jest bardziej pracochłonna i stąd efekty wywozowe korzystniejsze. Do takich wyrobów należą kompletne obiekty, narzędzia, artykuły powszechnego użytku, wyroby precyzyjne itp. Tam też zakłada się największy przyrost produkcji eksportowej. Do 1965 r. przemysł maszynowy i elektro-

techniczny ma opanować i uruchomić produkcję ok. 600 ważniejszych nowych typów maszyn i urządzeń oraz przeprowadzić rekonstrukcję i modernizację blisko 200 typów maszyn. Umożliwi to wycofanie z produkcji 250 wyrobów, które już nie odpowiadają wymaganiom współczesnej techniki. Na inwestycje przeznaczona się w tym przemyśle w latach 1961-65 ok. 23,5 mld zł. Do najważniejszych pozycji inwestycyjnych należy budowa

suchego doku w stoczni w Gdyni, rozbudowa kombinatu w Elblągu (agregaty energetyczne), rozbudowa fabryk aparatury chemicznej, poważna rozbudowa zakładów mechanicznych w Ursusie i fabryk przemysłu maszyn rolniczych. W większości wypadków będzie to głównie uzupełnianie i zwiększenie oraz unowocześnienie parku maszynowego. Największa rozbudowa następuje, jak widać w przemysłach, które odgrywają największą rolę w eksporcie oraz w zaopatrzeniu takich dziedzin gospodarki, jak energetyka, chemia i rolnictwo.

Tadeusz Sapociński

Polska Ewa w zwierciadle demografii

Oczy demografa (człowieka badającego układ i ruch ludności) śledzą kobietę z taką samą uwagą, jak oczy... zazdrosnego męża. Żeby porównanie było jeszcze dokładniejsze dodajmy, iż obie pary oczu obserwują przede wszystkim niewiastę młodą, zwaną w języku demografii kobietą w wieku rozrodczym. Jest to osoba od lat piętnastu do czterdziestu dziewczęciu.

Mamy obecnie w Polsce ok. 7,1 miliona niewiast, od których bezpośrednio zależy układ demograficzny kraju dziś, jutro i w nieco dalszej przyszłości. W stosunku do wszystkich kobiet stanowi to około 46 proc. i odpowiada przeciętnej w innych krajach europejskich. Z tych 7,1 mln. kobiet w związku małżeńskie wstępuje rocznie przeszło 260 tys. Najczęściej młode żony mają 20 - 29 lat. Różne kobiety powyżej czterdziestki rzadko decydują się na małżeństwo.

Jeśli jednak wszystkie te związki porównać z zawieranymi przed wojną — w takich samych grupach wieku — okaże się, że pęd Polek do małżeństwa uległ dalszemu przyspieszeniu. Na przykład wśród najmłodszych wychodzi dziś za mąż o 49 proc. więcej, w następnej grupie o 43 proc. więcej. Modzie na małżeństwo nie oparły się nawet starsze: obecnie wychodzi ich 5,9 promille, gdy w latach 1931-23 równe 5 promille.

W ślad za modą na małżeństwo przyszedł wielki "urodzaj" na dzieci. Wiele już o tym pisano. Nie będziemy powtarzać utartych danych, w zamian przytoczymy pewne porównanie. W stosunku do lat przedwojennych znacznie wzrosła liczba dzieci urodzonych przez najmłodsze kobiety, natomiast zmalała płodność w latach późniejszych. Na przykład

kobiety 40-49-letnie urodziły w latach 1931-32 sześćdziesięcioro troje dzieci, a w 1954 r. już tylko trzydziścioro osiem (na każde tysiąc kobiet w tym wieku).

Demografowie nie ograniczają się jednak do prac statystyczno-porównawczych; ich konikiem jest perspektywiczny rachunek ruchu ludności. Nie trzeba tłumaczyć, jak wielkie ma to znaczenie dla planowania gospodarczego i kulturalno-socjalnego, jeśli tylko prognoza jest trafna. Rachunek ten wskazuje, że w 1967 r. w Polsce będzie żyło 35 milionów ludności, a liczbę 40 milionów przekroczy się na przełomie XX i XXI w.

W 1970 r. kobiety będą dalej górą: na każdym stu mężczyzn prognoza przewidyuje od 103,8 do 104,9 niewiast, co jest uważane za tzw. lekką przewagę kobiet, zjawisko normalne w Europie. Dzieci do lat piętnastu powinno być od 8 do 9 milionów, z czego trochę mniej dziewczyn, niż chłopców. Dzieci w wieku szkolnym (7-14 lat) będzie w tym czasie około 5,3 milionów. Jeśli i to się sprawdzi, jest nadzieja, że kłopoty z budową Szkół Tysiąclecia skończą się jeszcze w bieżącym... tysiącleciu.

Natomiast w następnych (po 1970 r.) dziesiątkach lat mogą wrócić stare kłopoty, ponieważ szybko wzrośnie ilość Polek w wieku rozrodczości. Demografowie obliczyli, że ów podmiot ich największej uwagi zrobi potężny sus i z liczby 7,1 miliona w 1960 r. podniesie się do 9,1 miliona w roku 1970, czyli aż o 34 procent. Nastąpi wzrost ilości małżeństw, wzrost ilości dzieci, wzrost przyrostu naturalnego. Oj, Ewo, demograficzna!...

Andrzej Sultański

Praca zawodowa mężatek w świetle badań socjologicznych

Wpływ pracy zawodowej kobiet na życie współczesnej rodziny jest przedmiotem wnikliwej obserwacji naukowców. Szerokie badania na ten temat w Polsce prowadzone są w Instytucie Gospodarstwa Społecznego. Okazuje się, że pomimo znacznego wzrostu liczby kobiet pracujących zawodowo, ich odsetek wśród ogółu pracowników nie zmienił się w zasadzie od czasów przedwojennych i wynosi obecnie 36 proc. Znacznie natomiast, bo o 50 proc., wzrósł procent pracujących mężatek, ale nadal jest on niższy w Polsce niż w innych krajach uprzemysłowionych, np. ZSRR, USA, CSRS, NRD, Anglii itd.

Na decyzję podjęcia lub porzucenia pracy zawodowej przez mężatki wpływ ma tradycja środowiska, sytuacja materialna rodziny, przygotowanie zawodowe i... głos męża. I tak np. na Śląsku mężczyźni, uznając, że kobiety mogą pracować, wypowiadają się zdecydowanie przeciwko pracy mężatek. W Warszawie natomiast i w Łodzi, zdecydowana wię-

kszość ankietowanych robotników wypowiedziała się za pracą kobiet... ale nie własnych żon, bo jeżeli o nie idzie, to zdania są bardziej podzielone i na ogół przeważa opinia, że żony pracować nie powinny. Również i ocena pracy zawodowej kobiet zależy od tego, czy dotyczyć ma kobiet "w ogóle", czy też żon. Choć prawie wszyscy mężczyźni wypowiadają się za równością płacy kobiet i mężczyzn, blisko połowa z nich uważa, że żona powinna zarabiać mniej od męża, zaś jedna trzecia dodaje do tego, iż winna zajmować niższe stanowisko.

O podjęciu lub kontynuowaniu pracy zawodowej przez mężatki decydują przede wszystkim względy materialne. Ale obok tego niebagatelną rolę odgrywa pragnienie niezależności i kontaktów społecznych, odczuwane przez bardzo wiele kobiet, przy czym im wyższe są ich kwalifikacje i prestiż wykonywanego zawodu, tym te ostatnie czynniki odgrywają silniejszą rolę.

EKSPLOZJA DEMOGRAFICZNA

Dok. ze str. 21

dziedzinie ubezpieczeń społecznych i ochrony pracy, ku zarządzaniom opiekunów, podporządkowanym interesom grup młodzieżowych. W ogóle w ramach planowania gospodarczego pierwszeństwo powinno przysługiwać inicjatywom zmierzającym do udoskonalenia sieci szkolnej, ogólnej, czy zawodowej, poprawy stanu zdrowia i dobrobytu młodej generacji nawet, gdyby to miało pociągnąć za sobą w razie konieczności pewne ukrócenie przywilejów przysługujących dziś grupie pracowników w podeszłym wieku.

Tylko w ten sposób możliwe będzie unicestwienie dramatycznych następstw przyspieszonego wzrostu ludności łacińsko-amerykańskiej i złagodzenie obecnego coraz groźniejszego kryzysu nie tylko gospodarczego, lecz również społecznego.

STANISŁAW FISCHLOWITZ



BLASKI I NĘDZE WOJNY NA "SOKOLE"



2

Zanim opowiem co mi się zdarzyło po opuszczeniu Dundee muszę najpierw napisać kilka słów o banderze O. R. P. "Sokół".

Każdy okręt podwodny jest, właściwie, korsarzem. Toteż nie bez powodu z jego bandery spoziera "Wesoły Kuba", zgrzytająca radośnie zębami trupia główka. Ale obok czaszki są tam jeszcze inne znaki, nie będące niczym innym, niż pismem obrazkowym. W banderze są bowiem zawarte dzieje okrętu podwodnego.

Przyjrzyjmy się banderze O.R.P. "Sokół". Widzimy tam po lewej stronie szereg linii poziomych. Każda taka linia oznacza okręt wojenny lub statek handlowy storpedowany przez "Sokoła". Od góry, aż do swastyki są to jednostki włoskie, a począwszy od swastyki — niemieckie. Razem jest tego niemało — 24 sztuki. Z prawej strony u góry 11 gwiazd, otaczających skrzyżowane lufy armatnie — to statki zatopione ogniem artyleryjskim. Kratka umieszczona poniżej przypomina najbardziej groźną przygodę "Sokoła" sięć w którą się dostał i z której zdołał się szczęśliwie wydostać. Wreszcie na samym dole skrzyżowane szable oznaczają zdobycie czterech jednostek w walce wręcz.

Po tym wyjaśnieniu mogę już spokojnie wrócić do przerwanej opowiadania.

Dundee opuściłem bez specjalnego żalu. Zawiesiłem na jednym ramieniu worek z rzeczami, a na drugim hamak, w którym miałem odtąd spać w czasie służby na okręcie (tak to już jest, że marynarz dźwiga zawsze ze sobą swoje łóżko) i z lekkim sercem wsiadłem do pociągu idącego do Portsmouth. W dzielnicy Portsmouth, zwanej Gosport, znajdowała się w tym czasie baza okrętów podwodnych. Z nadbrzeża widać było porośnie-

tą drzewami niedużą wyspę Isle of White, w powietrzu unosiły się z żalonym krzykiem mewy, dzień był mglisty i pochmurny.

Wchodząc do bazy byłem pełen najlepszych nadziei, w cudownym nastroju, który popsuł mi dopiero widok naszego bosmana. Było to chłopisko o strasznej, złej twarzy, czerwone na pysku o rudej brodzie, istny obraz mordercy niewinnych dzieci. Nazywał się ten potwór — Domicz, Tadeusz Domicz. Kiedy spojrzał na mnie nogi się pode mną zatrzęsły i w pierwszym odruchu chciałem od razu zwiać.

No, jakoś to mi potem przeszło, ale dobre usposobienie przyszło. Wciąż przychodziła do głowy myśl:

— Jak ja z tym draniem wytrzymam?

Pokazano mi łóżko w bazie, (bo trzeba wiedzieć, że w hamaku śpi się tylko na okręcie) i to łóżko było porządne, więc kropnąłem się na nie zaraz nie żeby odpocząć — wcale nie byłem zmęczony — tylko żeby zebrać myśli. Obok leżał jakiś chłopak. Popatrzył na mnie i wyciągnął paczkę papierosów:

— Zapal sobie, chłopie, bo widzę, że masz pietra.

Sztachnąłem się, a on powiada:

— Pewno się przestraszyłeś bosmana? Nie bój się, to równy facet. Muchy nie skrzywdzi.

— E, — mówię — coś mi się nie zdaje.

— No, to się przekonasz.

Okazało się później, że mówił prawdę. Bosman Domicz był najpoczeiwszym człowiekiem pod słońcem. Jednego tylko trzeba się w nim było bać — ciętego języka.

Nie zdążyłem jeszcze zapalić papierosa, kiedy zawołano mnie na zbiórkę. Zobaczyłem wówczas po raz pierwszy kapitana Borysa Karnowskiego, który wywarł na mnie ogromne wrażenie dzięki temu, że nie miał ani jednego włosa na głowie. Poza tym był to gość przystojny o wspinałym profilu, mundur leżał na nim jak ulał.

Po zbiórce zabrał nas do siebie bosman maszynowy, niejaki Sienkiewicz, chłop starszy już, ponury, który zabrał się do wtłaczania w nasze tępe głowy wiedzy o zbiornikach. Zbiorniki na okrętach podwodnych są bardzo czułym instrumentem. Wystarczy nalać do jednego z nich o kilkadziesiąt litrów wody za dużo, a okręt ważący 600 ton straci równowagę.

W kilka dni po moim przybyciu do Portsmouth wybraliśmy się na patrol na zatokę Biskajską. Towarzyszył nam, jak to było w zwyczaju, torpedowiec, który opuścił nas dopiero o świcie, kiedy zanurzyliśmy się.

Płynęliśmy siedem dni po morzu niespokojnym, burzliwym, nie widząc żadnego statku, ani łodzi na widnokręgu. Ósmego dnia otrzymaliśmy telegram z Portsmouth, żeby zwrócić uwagę na port francuski Ile d'Orléans, do którego miał zawinąć statek z amunicją.

Krażyliśmy koło tego portu kilka dni, cały czas bezskutecznie; dopiero na czwarty dzień, w nocy, około godz. 11 po-

jawił się awizowany statek w asyście dwóch niszczyteli. Jeden z nich wystrzelił w górę rakietę, oświetlając na 15 do 20 sekund wszystko dokoła. Zrobiło się widno, jak w dzień i kapitan kazał się okrętowi zanurzyć.

Wypuszczanie torpedy bez peryskopu, tylko na podsluch, nie jest łatwą sztuką.

Służył wówczas na okręcie jako strzelec torpedowy, pewien inteligentny facet, niejaki Straszak, który dorobił się później stopnia oficera. Otóż ów Straszak przed odjazdem okrętu zrobił w Portsmouth jakąś straszną grandę za co wlepiono mu 14 dni paki.

Więc kiedy się zanurzyliśmy kapitan Karnowski powiada do niego:

— Słuchajcie, Straszak, jeżeli zatopicie ten okręt to ja wam tę pakę anuluję.

— Tak jest, panie kapitanie — powiada Straszak.

Widać było, że wkłada całą duszę w obsługę wyrzutni. Dał wreszcie namiary i wkrótce potem co sześć sekund wystrzelone zostały cztery torpedy. Słuchaliśmy z zapartym tchem na eksplozję, ale minęło 40 sekund i wybuch nie nastąpił. Kapitan Karnowski machnął ręką.

— Oj, Straszak, Straszak, spludłowa- liście.

A Straszak się nie odezwał. Raz, że musiał iść do paki, a po wtóre, że torped mu było szkoda. Bądź co bądź każda taka torpeda kosztowała w owym czasie dwa i pół tysiąca funtów.

Zanurzyliśmy się głębiej. Torpedowce nieprzyjacielskie zrzuciły kilka bomb głębinowych, które nie wyrządziły nam żadnej szkody.

Wkrótce potem wróciliśmy do Portsmouth, trochę rozczarowani i trochę zawstyżeni rezultatem wyprawy. Opowiadano mi w parę lat później, że łajba, do której tak niefortunnie strzelał Straszak, była statkiem amerykańskim, wiozącym kontrabandę z amunicją do Niemiec. W owym czasie (wiosna r. 1941) Stany Zjednoczone nie były jeszcze w stanie wojny z Niemcami.

W Portsmouth dostałem pierwszą belkę i na drugi patrol wybrałem się już jako sternik. Byłem z tego strasznie dumny.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z portu służbę na pokładzie pełnił podporucznik Fritz. Nie wiem, czy dla żartu, czy też po prostu dlatego, żeby sprawdzić moją sprawność, rozkazał:

— Widzicie tę boję? Przejedźcie o dwa metry od niej.

Zabrałem się do wypełniania rozkazu, gdy na pokład wszedł kapitan Karnowski. Jeden rzut oka pozwolił mu na zorientowanie się w sytuacji. Krzyknął obawiając się, że rozbiję boję. Ale było już za późno i nie można było zmienić kierunku. Może miałem taką pewną rękę, a może to tylko był traf, ale rzeczywiście minąłem boję o dwa metry.

Kapitan popatrzył na mnie i powiada:

— Wiecie, Fusiarski, jakbyście służyli na okręcie normalnym to nie dostalibyście jeszcze tej belki. Na okręcie podwodnym promocje są szybsze.

I zwracając się do stojącego za nim bosmana Domicza dodał:

— Prawda, bosmanie?

Domicz wiedział, że kapitan pije do niego, ale nie zmieszał się.

— Tak, tak, panie kapitanie, — powiedział — ja pana pamiętam jeszcze jako podporucznika.

W czasie tego drugiego patrolu nie zdarzyło się nic szczególnego. Krążyliśmy w pobliżu Brest, gdzie ukryły się dwa pancerniki niemieckie: "Gneisenau" i "Scharnhorst". Diabli wiedzą w jaki sposób udało im się przemknąć pod nosem Anglików, którzy patrolowali gęsto cały kanał La Manche. Dość, że pewnego dnia, korzystając z gęstej mgły, opuścili Brest i uciekli na morze Północne.

Na następny patrol pchnięto nas znowu w kierunku Brest. Do portu chciał wejść w towarzystwie krążownika "Prinz Eugen" pancernik "Bismarck", niedawny pogromca największego pancernika angielskiego "H.M.S. Hood"; Hood mający 42 tys. wyporności, był już co prawda trochę przestarzały, gdyż wybudowano go w roku 1928, miał pancierz tylko do waterlinii. Trafiony jakimś dziwnym zrządzeniem losu poniżej linii wodnej, w kotłowni, eksplodował i tak szybko zatonął, że z załogi składającej się z 1.400 osób zdołano uratować zaledwie 16 marynarzy. Strata Hooda stanowiła dla Anglików niemal klęskę narodową, dyszeli zemstą, toteż, gdy dowiedzieli się, że "Bismarck" znajduje się u wybrzeży Francji postanowili go upolować za wszelką cenę.

Dopomógł im przypadek. Zrzuciona przez lotnika angielskiego torpeda powietrzna trafiła pancernik w śrubę i rozbiła ją. Kolos był unieruchomiony. Wkrótce zjawily się dwa pancerniki angielskie: H. M. S. Rodney i H. M. S. Nelson. Pływająca trumna, jaką był "Bismarck", trzymała się jednak dosyć długo na wodzie. Zatonęła po 200 wystrzałach. Z załogi jej uratowało się nie więcej, niż 300 osób. Towarzyszący "Bismarckowi" krążownik "Prinz Eugen" zdołał uciec.

Niemcy uważali, że "Bismarck" jest niezwykłym okrętem, a Anglicy, że "Hoodowi" nikt nie da rady. Jak widać wszystko jest względne i nie ma na tym świecie niczego pewnego.

Mieszkalem na "Hood'zie" kilka dni w czasie pobytu w Edimbourgu, kiedy nie było mnie gdzie zakwaterować, i mogę stwierdzić, że okręt ten wywoływał imponujące wrażenie. Był on kilkakrotnie atakowany przez samoloty i pewnego razu bomba spadła na kołowrót, na który nawija się linę stalową. Pomimo, iż wybuchła nie wyrządziła żadnej szkody i tyle tylko, że jeden z marynarzy musiał się pofatygować i znieść odłamki miotły. Spotkałem tam pewnego faceta, który mi opowiadał, ale pewno bujał, że służąc na tym okręcie wraz ze swoim bratem nie widział się z nim przebie półtora roku.

Nasz "Sokół" nie brał udziału w walce z "Bismarckiem". Wróciliśmy do Portsmouth na zasłużony odpoczynek. Po każdym rejsie dostawaliśmy przeważnie siedem dni urlopu. Na okręt wchodziła zapasowa załoga, która czyściła go i malowała, a my w tym czasie wałęsaliśmy się po barach i dansingach. Każdy z nas dostawał 16 funtów żołdu miesięcznie. Jaka to była duża kwota niech świadczy fakt, iż w tym samym czasie robotnicy zarabiali tylko 6 funtów.

Jeździłem też często do Dundee, gdzie miałem sympatię. W Dundee w dansingach dochodziło często do bijatyk pomiędzy marynarzami. Nikt nie wiedział dlaczego się ludzie leli pomiędzy sobą. O byle co wybuchała awantura. Najbitniejsi

SZLAKIEM JASKÓŁEK

Każdy, kto opuściwszy Chamonix, wyjedzie kolejką zębatą do Montever, końcowej stacji kolejki u stóp lodowca Mer de Glace, zostaje oczarowany widokiem potężnego masywu Grandes Jorasses, wylaniającego się daleko poza lodowcem Leschaux, górującego swym ogromem i wysokością nad pozostałymi szczytami i tworzącego przepiękne zamknięcie biegnącego perspektywnie w tym kierunku lodowca Mer de Glace.

Wspaniały ten masyw ponad trzykilometrowej długości, którego granią prowadzi granica dzieląca Francję z Włochami, opada na francuską stronę ku północy niemal pionową 1.400 metrową ścianą.

Wschodnie ograniczenie tworzy niska "Przełęcz Jaskółek" (Col des Hironnelles) — 3465 m, — ku której grań opada 800 metrową zerwą. Od zachodu zakończeniem Grandes Jorasses jest wysoka przełęcz Col du Grandes Jorasses (3.828 m). Grań ta ma szereg wierzchołków: od wschodu najwyższy z nich Point Walker (4.205 m), dalej niewiele ustępujące mu wysokością: Vhympier, Croz, Helene, Marguerite i Young.

Filar Whelera uważany był do r. 1938, obok północnej ściany Eigeru, za największy problem alpejski. Zdobyć tej ściany w kilka dni po zdobyciu Eigeru w czterodniowej wspinaczce przez zespół najlepszych alpinistów włoskich z Cassinem na czele sławę tę jeszcze powiększył. Do chwili obecnej przejście tej drogi uchodzi za największe osiągnięcie alpinistyczne.

W r. 1950 filar powtarzał, wraz ze swym rodakiem Ausriakiem Kuno Rainerem, jeden z największych alpinistów świata, samotny zdobywca trzeciego ośmiotysięcznika w Himalajach, Nanga Parbatu (8.125 m wysokości — zdobyty 3 lipca r. 1954), Hermann Buhl. Potem w r. 1960 powtarzali filar również Polacy.

Północno-wschodnia grań, zwana też od nazwy przełęczy, która ją rozpoczyna — Col des Hironnelles — granią Jaskółek, odparia ponad 30 prób jej zdobycia. Rozbiły się one wszystkie pod t. zw. rysą Reye, nazwaną tak od jej pierwszego zdobywcy, przewodnika Adolfa Reye, mniej więcej w połowie wysokości spadku

byli Norwegowie. Szukali po prostu okazji do grzania. Kiedy się ktoś bił oni się zaraz włączali do walki. Nie wiadomo dlaczego szczególnie nie lubili Holendrów. Dundee było otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Widziałem pewnego razu jak Holendrzy pokonani przez Norwegów stali z podniesionymi do góry rękami przrzepili do tych zasiek.

Nasi chłopcy nie gardzili także dżinem. Znałem jednego, który pojechał z Dundee do Edimbourga i będąc już do brze pod gazem zobaczył w witrynie sklepu ciastko. Nie chcąc się pofatygować przez drzwi wszedł przez witrynę. Zrobił się dzika awantura. Chłop chciał zapłacić za szkód, ale Anglicy nawet nie chcieli o tym słyszeć. Wezwali żandarmerie, która wpakowała faceta do aresztu. Zawiadomiona o tym jednostka wysłała oficera, żeby ratował nieboraka w onresji.

Gość obudził się już mniej więcej trzeźwy, popatrzył na oficera i powiada:

— Nie rozumiem jak to jest. Nie piłem przecież razem, a siedzimy razem w pace.

(D. c. n.)

JERZY R. FUSIARSKI

grani pomiędzy przełęczą Jaskółek a Walkerem. Pierwszego przejścia tej grani dokonano... w zejściu tj. zjeżdżając przez rysę na linach.

Drugiego przejścia z dołu do góry wraz z pierwszym trzydniowym trawersowaniem całej grani dokonał w r. 1935 zespół znakomitych alpinistów: Pierre Allain, J. Chavignon i Raymond Leininger.

Drugie trawersowanie tej grani stało się naszym ambitnym zamierzeniem, które dojrzało w nas podczas wędrowki granią Mont Blanc.

Pogoda była doskonała, samopoczucie dopisywało, a grań przyciągała wzrok swymi strzelistymi kształtami. Czuliśmy się zdolni do pokonania tej drogi, a przebycie nietrudną zresztą granią czterotysięcznych szczytów, z Mont Blanc na czele, pozwalało na zorientowanie się z jakiego typu trudnościami, warunkami skalnymi, śnieżnymi i lodowymi powinniśmy się liczyć.

Jako najbliższy nasz alpinistyczny cel postawiliśmy sobie wraz z moim przyjacielem i towarzyszem tatrzańskim, Witoldem Ostrowskim, tę właśnie drogę. Z projektem naszym wystąpiliśmy następnego dnia po zejściu do Chamonix, kiedy wylegiwalimy się na plaży, urozmaicać sobie wypoczynek zaciętymi bojami w siatkówkę.

Dyskusja na temat, czy możemy tam pójść bez zbyt dużego ryzyka, była długa. Staszek Siedlecki, nasz kierownik zdawał sobie dobrze sprawę z odpowiedzialności za całość wyprawy. Czy kondycja nasza jest wystarczająca? Czy damy sobie radę w trudnych, nieznanych nam górach na tak wyczynowej drodze, która przez 12 lat nie doczekała się powtórzenia? Czy dysponujemy odpowiednim doświadczeniem i umiejętnościami, aby dokonać próby przejścia tak poważnej drogi, pokonanej do tej pory tylko jeden raz i to przez najwybitniejszych, należących niewątpliwie do ekstraklasy alpinistów? Z grani tej nie ma żadnego łatwego zejścia i najbliższym i najłatwiejszym jest zejście... tą samą drogą w jedną lub drugą stronę.

— Może spróbujecie coś łatwiejszego np. Aiguille Verte kulaurem Whympera? — poddawał nam Staś.

Zaoponowaliśmy:

— Jest pogoda. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Spróbujemy to może zrobić w większym zespole.

— Dobrze — zdecydował Staś — ale idziemy razem.

Naszym czwartym towarzyszem został najmłodszy uczestnik wyprawy, świetny wspinacz Staszek Worwa.

W programie wyprawy alpejskiej w r. 1947 było wymienione między kilkoma innymi propozycjami trawersowanie grani Grandes Jovasses z uwagą, że... "byłoby wielkim sukcesem, gdyby pokonana została bodaj jedna z dróg wyliczonych... i dalej:..." "drogi te stoją właściwie ponad i poza zasadniczymi celami wyprawy, jako jej trzecia, wyczynowa faza". My byliśmy dopiero po pierwszej fazie tj. po zaklimatyzowaniu się na wysokościach powyżej 4.000 m i po ogólnym zapoznaniu się z terenem działania. Przeskok był więc bardzo szybki i po zapadnięciu decyzji czuliśmy się trochę jak pacjent przed ciężką operacją. Czy się uda?

Jeszcze jeden dzień poświęcamy na gruntowny wypoczynek. Znowu rano wylegujemy się na położonej ślicznie wśród lasu z widokiem na ośnieżony Mont Blanc — plaży i włączymy się po Cha-

monix, jemy na zapas poza obiadem jajecznicę, winogrona, daktyle, oglądamy wystawy sklepowe, lokale, idziemy do kina.

Następnego dnia, 28 lipca, pakujemy starannie naszą żywność, suchy prowiant otrzymany z Hotelu Szkoły Alpinistycznej, i sprzęt. Teraz dopiero wychodzą mankamenty pospiesznego kupowania sprzętu w Paryżu. Sprzęt nasz, mimo, że dopiero kupiony jest już przestarzały. Buty mamy za ciężkie i nieodpowiednie. Zamiast gumowej podeszwy wibramowej okuto nam je systemem specjalnych haków, zwanych "tricoumi", owszem bardzo dobrych, ale... przedatnych w zimie. Płachty biwakowe i śpiwory są również za ciężkie i nieodpowiednie. Na widok najnowszego sprzętu francuskiego wybałuszamy oczy. Liny nylonowe, haki aluminiowe, czekany składane.

Po obiedzie, a właściwie śniadaniu, jak zwykle z dużą ilością lekkiego zresztą wina, objuczeni plecakami przechodzimy pomostem ponad stacją kolei elektrycznej i wsiadamy do niewielkich wagoników kolejki zębatej, ciągniętych przez śmieszna pochyloną lokomotywkę z datą produkcji 1907.

Trasa kolejki wiję się cały czas stromo pod górę. To przejeżdżamy przez mosty i wiadukty, to znów przez tunele. Wreszcie ostatnia stacyjka: Montevers.

Kilkanaście kroków schodzimy po piargu i jesteśmy już na lodowcu. Przed nami — Jovassy. Lodowiec nie jest tu przykryty śniegiem i nie ma niebezpiecznych mostów — idziemy więc nie związani. Przeskakując co chwila mniejsze szczeliny, klucząc między większymi dochodzimy do bocznej odnogi Mer de Glace — lodowca Ceschaux.

Lód, po którym stąpamy, z brudnozielonego i przysypanego jak by drobnym żwirem staje się coraz czystszy i miększy, szczeliny coraz głębsze. Jeszcze około dwóch godzin drogi lodowcom Ceschaux, potem opuszczamy go i podchodzimy do niewielkiego schroniska, tej samej nazwy co lodowiec, zbudowanego na wysokości (2431 m).

Jesć nam się nie chce zbyt dużo, mamy tremę przed jutrzejszym dniem toteż gospodarz schroniska nie nalegając więcej układa nas do snu około godz. 9 wieczór i pyta kiedy nas ma obudzić. Oświadczamy, że o 2.30 co nie dziwi go zupełnie. Nie wiem doprawdy kiedy ten człowiek śpi, podobno dopiero na jesieni, bo do 11 przygotowywał postanie ostatnim gościom, a już o 12 musiał budzić innych, już tak wcześnie wychodzących w ściany.

Nerwowo sen przerywa delikatne poruszenie mojego ramienia. Jest punktualnie 2.30. Gospodarz obudziwszy nas przyrządza śniadanie na kuchence gazowej. Ubieramy się szybko przy świetle latarki. Plecaki są już zapakowane poprzedniego dnia. Kilka łyków gorącej kawy i wiążemy się liną jeszcze w schronisku. Opuszczamy je żegnani przez sympatycznego gospodarza.

Do wschodu słońca jeszcze daleko. Dopiero 3.15. Wyględzone niebo i cisza górską, której nie śmiemy przerwać. Idziemy w milczeniu, przyświecając sobie w trudniejszych miejscach latarkami. Niestety, po dłuższej chwili z trzech laterek działa już tylko jedna. Na domiar złego zapomnieliśmy w schronisku zabrać leżące osobno haki. Nie ma rady, bez haków nie pójdziemy. Siadamy na bloku kamiennym. Za pół godziny wraca Witek pobrzękując żelastwem.

(D. c. n.)

JERZY PIOTROWSKI

MEKSYKAŃSKIE WSPOMINKI

Kilka wrażeń z podróży bez silenia się na ujęcie literackie. Meksyk, tak jak go widzi turysta.

A więc miasto wznoszące się na 2.300 m. nad poziomem morza, miasto, które lśni czystością i rzucającym się w oczy porządkiem wewnętrznym. Ładne, szerokie i wygodne ulice, znakomicie utrzymane. Po obu ich bokach drzewa. U wylotu głównych arterii ku upamiętnieniu postaci lub wydarzeń historycznych — pomniki. Liczne i bardzo duże parki, rozsiane planowo na całej przestrzeni miasta, w jego centrum i na przedmieściach.

Ruch pojazdów mechanicznych i ruch pieszy dobrze zorganizowany o dużym stopniu bezpieczeństwa.

Tyle miasto. A ludzie...

Odnosi się wrażenie, że wszyscy Meksykańscy wciąż jeszcze żyją w atmosferze głębokich reform, które przyniosła rewolucja. Politycy, artyści, uczeni kończą swe przemówienia okrzykiem: "Niech żyje rewolucja meksykańska!" To samo powiedział prezydent Meksyku, kiedy w kwietniu br. wrócił z podróży po Europie. Owocem rewolucji jest także nacjonalizm, wyrażający się w krytycznej i niechętniej postawie wobec cudzoziemców, chętnie zresztą widzianych i goszczonych w charakterze turystów.

Rewolucja dokonała największych przeobrażeń w rolnictwie. Świadectwem tych przemian są położone w pobliżu miasta zwarte osiedla wiejskie i pola uprawne. Znosząc wielką własność rolną rewolucja wyprowadziła kraj z zaścianka feudalizmu.

Ślady rewolucji odnajdujemy w muzyce, malarstwie, rzeźbie, literaturze, sztuce dramatycznej i balecie Meksyku.

W malarstwie dwa nazwiska Diego Riveiry i Siqueiry oznaczają posunięcie się daleko poza radykalizm rewolucji. Zmarły niedawno Riveira oddał do dyspozycji swój dom Leonowi Trockiemu. Zdaje się, że sławie Riveiry i jego interwencji zawdzięczał Trocki swój pobyt w Meksyku. Siqueira, skazany przed laty na więzienie za działalność komunistyczną, przebywa nadal w więzieniu, uporczywie i zaciekle odrzucając przyjęcie ulaskawienia.

Już w pobliżu miasta przyroda urzeka pięknem. Niemal na skraju jednej z dzielnic teren znacznie się jeszcze podnosi. Dobra szosa wiję się brzegiem wspaniałych lasów. Przy czystości powietrza i doskonalej widzialności roztacza się stąd niezwykle widok na olbrzymie przestrzenie doliny uprawnej, obejm-



Piramida księżycowa w Teotihuacan

mujące dziesiątki, dziesiątki kilometrów aż po horyzont.

Meksyk jest z pewnością jednym z najpiękniejszych i krajobrazowo najbardziej malowniczych krajów świata.

IGNACY KRAUS

OGŁOSZENIA MATRYMONIALNE

35-letni inteligent polskiego pochodzenia, zamieszkały w USA, poszukuje skromnej, kulturalnej, o niewygórowanych wymaganiach niewiasty zdecydowanej na wyjazd do USA w celu matrymonialnym, o wzroście nie wyżej, niż 1,60 cm i w wieku do lat 30.

Oferty wraz z aktualnymi fotografiami należy kierować na adres: Victor Sujecki, 6621 Ovington Ave, CLEVELAND 27, Ohio, USA.



Tancerze słońca w Teotihuacan



W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII —

DZIWNE KAMIEŃ

Żył przed laty w miejscowości Limeira w municypium Guaratuba pewien poczciwy i pracowity kabokło imieniem Antonio Salvador. Cała Limeira, obejmująca podówczas pięć tysięcy alkierów ziemi, należała do szefa politycznego Guaratuby, Manoela Leocadia da Costa. Był to człowiek dobry dla chłopów, a że ziemia dla braku dróg nie interesowała nikogo pozwalał na niej mieszkać leśnym ludzom. Antonio Salvador był właśnie jednym z takich bezpłatnych dzierżawców. Sadził tylko tyle kukurydzy i manioku ile potrzebował do własnego użytku, a ryżu nieco więcej, aby sprzedać nadwyżkę za gotówkę w Guaratuba lub Paranaguá. Ryż w pałolu (śpichrzu) znaczył to samo co pieniądze w kasie. Odgrywał on w dolinach nadmorskich tę samą rolę co herwa na wyżynach paranańskich.

Zarówno Antonio Salvador, jak i Manoel Leocadio mieli swoje hobby.

Salvador lubił polować i gdy miał wolny czas szedł w góry żeby zastrzelić dziką świnię, tatetu lub co najmniej pancernika. Puszcza była jeszcze na wpół dziewicza wracał więc zawsze ze zdobyczą.

Manoel Leocadio miał inną manię: poszukiwał skarbów ziemi. Próbowal plucać złoto nad Rio do Ouro, kopać złoto i srebro w górach Serra da Prata. Nie miał jednak szczęścia i nigdy nie znalazł niczego wartościowego.

Pewnego razu Antonio Salvador polował nad rzeką Indayal powyżej wodospadu. Posuwając się wzdłuż rzeki natrafił na trzy głębokie jak studnie sadzawki. Każda była obramowana czarnymi, błyszczącymi głazami, a woda w nich koloru szafirowego - lśniła jak kryształ. Las dookoła czysty, bez poszycia, sięgał koronami nieba. Miejsce było tak piękne i uroczne, że Salvador zatrzymał się chwilę. Zerwał liść caeté, zagiął i zaczerpnął wody. Była zimna i wyborna w smaku. Zaciekawiony obramowaniem sadzawek, które wyglądało jak zrobione ręką ludzką, podniósł jeden z głazów. Zauważył natychmiast, że był nadmiernie ciężki. Przyszło mu do głowy, żeby zabrać go do domu i pokazać Manoelowi. Wybrał dwa najbardziej błyszczące i włożył do torby myśliwskiej.

W drodze powrotnej spotkał stadko tatetów. Zabił dwa i aby móc je zabrać ze sobą porzucił kamienie w lesie. Umieścił je w rozgałęzieniu jednego z drzew z myślą, że je odzuka przy najbliższej okazji i odda Manoelowi.

Ten, gdy mu Salvador opowiedział o metalicznych kamieniach, zaciekawiał się ogromnie. Poprosił by bezzwłocznie w towarzystwie zaufanego kamarady poszedł do lasu i przyniósł porzucone kamienie. Salvador i kamarada nie znaleźli jednak tych kamieni. Może kto je znalazł, zabrał lub wyrzucił albo nie trafili na właściwe miejsce.

To niepowodzenie zamiast zniechęcić pobudziło jeszcze więcej zaciekawienie Manoela. Postanowił wybrać się do trzech sadzawek.

W przeddzień zamierzonej wyprawy, w nocy, Manoel Leocadio miał dziwny sen. Śniło mu się, mianowicie, że szedł z Salvadorem pikadą leśną i że nagle spotkali na pikadzie ogromną żmiję, zwiniętą w kłębek. Salvador, który szedł na przedzie, skoczył do lasu, wyciął długi i tęgi kij i ostrym jego końcem przebił węza. Z rany trysnęła strumieniem krew i przeraziło to tak Manoela że obudził się.

Z rana opowiedział sen Salvadorowi i wahał się, czy iść na wyprawę. Ale Salvador zdołał go przekonać mówiąc, że sen mara, a Bóg wiara.

Poszli. W połowie drogi przed wodospadem sprawdził się sen Manoela. Spotkali olbrzymiego żararakussu, który zwinięty w kłębek spał na ścieżce. Salvador, idący na przedzie, skoczył do lasu, wyciął szybko długi kij, zaciósł i przebił gada. Z cielska węza buchnęła strumieniem krew jak to we śnie widział Manoel. To go tak przeraziło, że powiedział, iż za żadne skarby świata nie pójdzie dalej.

Podpora drużyny narodowej piłki nożnej Garrincha, oświadczył ostatnio, że chce się pozbyć płaszka, którego swego czasu otrzymał od gubernatora Lacerdy. Jak sobie przypominamy gubernator obiecał Garrinchy, gdy ten udawał się na mistrzostwa świata do Chile, że gdy zespół brazylijski zdobędzie mistrzostwo podaruje piłkarzowi płaszka "Maina". Brazylija zdobyła mistrzostwo świata i gubernator spełnił obietnicę.

Niedawno Garrincha powiedział grupie swoich przyjaciół, że podejrzewa, iż jedynie płaszkiowi "Maina" zawdzięcza szereg nieszczęść, które go w ostatnich czasach spotkały, i że jedno z dwojga: albo musi ukreślić łeb płaszkiowi albo zwrócić go gubernatorowi Carlosowi Lacerdzie.

X X X

Awanturnik Anibal dos Santos Bandeira rzucił się bez żadnego powodu na siedmioletniego chłopaczka, Sebastiana Prestesa Martins i zastrzelił go na oczach ojca. Doszło w następstwie do walki wręcz pomiędzy zrozpaczonego ojcem, a chuliganem. Walka zakończyła się rozbrojeniem napastnika i odebraniem mu rewolweru.

Rozwścieczony ojciec, Antonio Prestes Martins, nie poprzestał na tym. Zadał zabójcy szereg śmiertelnych ran, a potem dosłownie poćwiartował go nożem na kawałki.

Zdarzenie to miało miejsce w osiedlu Iporanga nad rzeką Czerwoną (rio Vermelho).

X X X

Do komisarza policji w Santos zgłosił się niejaki João Caetano de Souza, rodem z Polnocy Brazylii, i poprosił o "pozwolenie na puszczanie fajerwerków". Zaintrygowany komisarz (puszczanie fajerwerków nie jest zakazane) zapytał o powody tej niezwyklej prośby. Chłopina, zachowując niezachwiany spokój, oświadczył, że "ma zamiar uczcić rocznicę śmierci teściowej".

Uważał sen za przestrożę, żeby nie szukać kamieni, gdyż czeka go śmierć.

Wrócili więc do domu i Manoel Leocadio nie interesował się więcej tajemniczymi kamieniami mimo, iż znajdowały się na obszarze jego fazendy.

W kilka lat później Salvador zachorował. W Kurytybie, gdzie pojechał, leczył się w klinice dr. Ferencza. Doktor lubił z nim gawędzić. Pewnego razu Salvador opowiedział mu o szafirowych sadzawkach i o kamieniach. Ferencz bardzo się tym zainteresował. Kiedy Salvador wyzdrowiał umówili się, że po nadejściu zimy zrobią wycieczkę do zaczarowanej doliny. Do wycieczki jednak nie doszło, gdyż ile razy była odpowiednia pora dr. Ferencz miał pilne operacje w szpitalu.

W ten sposób upływał rok po roku. W końcu dr. Ferencz zapadł na chorobę, która przykuła go do łóżka na długi czas i skończyła się śmiercią. Antonio Salvador żył jeszcze kilkanaście lat, ale nie interesował się swym odkryciem wierzył bowiem, że nad skarbami ziemi czuwa niewidzialna siła wyższa, która nie pozwala ich eksploatować przed przeznaczonym czasem.

PINIOR

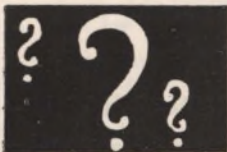
OBIEKTYWEM PO BRAZYLII

Po wyjściu z komisariatu João Caetano zaczął zaraz rzucać "żabki" i wypuszczać rakietki, aż doszedł w ten sposób do placu dos Andradas, gdzie zakończył tę osobliwą uroczystość.

Reporter.



Jan Szostak z zawodu stolarz od 4 lat rzeźbi, używając do swoich rzeźb korzeni, gałęzi, szyszek itp. Wystawa prac Szostaka, rodem z Augustowa wzbudziła duże zainteresowanie w Upsali (Szwecja).



Największy oszust

W kronikach kryminalnych odnaleźć można takie biografie przestępców, że opisane w nich curriculum vitae czynią na pierwszy rzut oka wrażenie mało prawdopodobnych, mimo iż są jak najbardziej autentyczne. Oszuści ci ze zdumiewającą wprost pomysłowością zdokonywają sobie powszechne zaufanie i sympatię ludzi. Wykorzystują to też w umiejętny sposób — przeważnie do osiągnięcia fortuny, którą zresztą często trwonią na najbardziej wystawny i hulastyczny tryb życia. Są to zwykle osoby o wysokiej sprawności intelektu, bogatej wyobraźni, energii, wiary w siebie, jednostki o ujmującym sposobie bycia, darze "oczarowywania" i przekonywania żonglerskim talentem oratorskim — tych którzy w mniej lub bardziej bezkrytyczny sposób, ochoczo wkraczają w zastawione sidła.

Owi wielcy aktorzy grają swoje role w codziennym życiu — rozmaicie, w zależności od wymogów konkretnych warunków. Występują jako książęta krwi, jako wielcy przemysłowcy, handlowcy, milionerzy, dobroczyńcy ludzkości, ofiary prześladowań, kandydaci do małżeństwa, uczeni, wielcy wynalazcy. Ich ofiarami padają nie tylko rzesze ludzi naiwnych, nie mających należytego doświadczenia życiowego.

Dość jednak wstępnych refleksji — sięgnijmy po autentyczne opisy.

Lord Hothermere, znany angielski magnat prasowy, wypłacił Węgierce Stefie Richter — występującej w roli księżnej Hohenlohe-Waldenburg — ponad 250.000 funtów szterlingów w latach 1932 do 1938. "Księżna", podająca się za prywatną "ambasadorkę" Rothermere'a, świadczyła mu pewne drobne usługi, mając — jako osoba z najwyższych, rzekomo, sfer arystokracji — możliwość znalezienia dostępu do wszystkich niemal europejskich dworów. Nawet i główny sztab Hitlera otwierał przed nią z uszanowaniem swoje podwoje.

Jak wiadomo, bardzo często ofiarami oszustów padają wielkie sklepy jubilerskie. Z tego powodu jubilerzy należą w handlowych interesach do najbardziej ostrożnych ludzi. Niemniej jednak i do dnia dzisiejszego udają się oszustom tricki, które świadczą o niebywałej wprost wyobraźni i umiejętnościach aktorskich.

Do pewnego sklepu jubilerskiego zgłosiła się dama, podająca się za żonę znakomitego psychiatry miejscowego. Oświadczyła, że w związku ze ślubem córki chciałaby nabyć jakiś bardzo cenny klejnot. Ponieważ wybór spośród dwóch bardzo pięknych i kosztownych przedmiotów wydawał jej się bardzo trudny, zwróciła się do właściciela sklepu, ażeby posłał kogoś, albo sam pofatygował się z nią do kliniki męża, z którym chciałyby się naradzić. Oczywiście jubiler chętnie się zgodził, znając znakomitość w dziedzinie psychiatrii, i wysłał swego pracownika z ową kobietą. W poczekalni lekarskiej kobieta poprosiła o oba klejnoty i weszła z nimi do psychiatry. Gdy przez dłuższy czas "żona" lekarza nie wychodziła, pracownik jubilerski zapukał do gabinetu. Poza lekarzem nie zastał tam nikogo. W zdenerwowaniu opowiedział więc wszystko lekarzowi, podnosząc głos i gestykulując. Psychiatra wysłuchał cierpliwie, po czym polecił zaprowadzić "furiatę" do specjalnej celi przeznaczonej dla niespokojnych pacjentów.

Cała sprawa wyjaśniła się dopiero po telefonie jubilera zaniepokojonego długą nieobecnością wysłanego pracownika. Jak wyjaśnił "nabrany na kawał" psychiatrę, owa

dama zgłosiła się do niego, oświadczając, że jej nieszczęśliwy syn popadł w manię prześladowczą — wyrażającą się w jego wierze w to, że skradziono mu klejnoty bardzo dużej wartości. W związku z tym "zrozpaczona matka" prosiła psychiatrę, ażeby przyjął do swego zakładu "nieszczęśliwego syna" — i zapłaciła od razu za pierwszy miesiąc jego pobytu. Po załatwieniu formalności wyszła przez drzwi prowadzące bezpośrednio do korytarza — ażeby — jak powiedziała — uniknąć bardzo przykrego momentu rozstania się z synem.

Niebywałym tupetem odznaczali się niewątpliwie także dwaj młodzi Niemcy, którzy — zdobywszy znaczną sumę pieniędzy, — zresztą przez napad bandycki na bank — udali się do Monako, gdzie udało im się dostać bez trudu na dwór książęcy. Korzystali oni przy tym z prywatnego wejścia do zamku jako rzekomi książęta norwescy.

Ujmującym sposobem bycia, oraz podarunkami jednemu z nich udało się zdobyć serce znanej aktorki filmowej Kim Novak, czego nie potrafiły zdziałać nawet najbardziej rutynowane lwy salonowe Riwiery.

Można byłoby mnożyć wprost w nieskończoność rozmaite przypadki aferzystów na wielką skalę. Dzięki pomysłowym koncepcjom zdobywają oni bez wysiłku ogromne sumy, wydłużając je od najrozmaitszych ludzi. Nie trzeba się dziwić biedakowi, który, wabiony wielkimi obietnicami, ostatnie oszczędności lokuje w wielkich rzekomo interesach tych oszustów i aferzystów. Ale zachłanność bogatych ludzi jest często wprost patologiczna.

Z pewnym wielkim bogaczem rosyjskim, właścicielem dużego hotelu (w czasach carskich) zawarł znajomość elegancki pan, afiszujący się posiadaniem znacznych sum pieniężnych w nowiutkich banknotach dużej wartości. W przystępie "szczerości" pan z wypchanym portfelem powierzył tajemnicę swojego majątku nowemu "przyjacielowi": banknoty są fałszywe. Próby przeprowadzone przez ostrożnego bogacza w banku okazały ponad wszelką wątpliwość, że nikt nie może rozpoznać fałszerstwa. Hotelarz pragnął uzyskać takie banknoty (możliwe do nabycia bez ograniczenia u mieszkającego w odległej jakiejś miejscowości fałszerza za cenę 10% nominalnej wartości). Po dłuższej podróży i wędrowce po zakamarkach miasteczka, zaprowadzono hotelarza do jakiegoś podziemnego pomieszczenia. Tutaj, w ścianach znajdowały się szafy z nowiutkimi, "spod prasy" banknotami. Klient zrobił znakomity interes: za 1000 rubli dostał 10.000. Stwierdziwszy — po powrocie do domu — że nie budzą one żadnego podejrzenia nawet w bankach, hotelarz umówił się ponownie ze swoim dobroczynnym przyjacielem. Tym razem suma przeznaczona do wymiany była bardzo poważna — stanowiła 50.000 rubli.

Przerwijmy na chwilę czytanie! Może sami dorobimy zakończnienie — podobne do podanego niżej, autentycznego?

Ostrzeżony wielokrotnie przed nieostrożnym zachowaniem, które mogłoby zwrócić czyjąś uwagę, podniecony, półprzytomny hotelarz, udał się wraz z "przyjacielem" dorożką na dworzec. Miał przy sobie olbrzymi majątek: pół miliona rubli załadowanych do walizki zakupionej w jednym z miejscowych

sklepów. Bagażowy zaniósł ciężką walizkę do przedziału. Nastąpiło rozstanie. Gdy wreszcie hotelarz znalazł się sam w przedziale i chciał napoić oczy widokiem wspaniałych banknotów, z największą rozpaczą stwierdził, że w jego walizce znajdują się stare gazety. Nie przeżył wyłudzenia 40.000 rubli. Przed popełnieniem samobójstwa opisał dokładnie przebieg całego procederu.

W tym przypadku nastąpiła zamiana walizek (na drugą taką samą) — przez "bagażowego". Pewnego razu "frajer" okazał się jednak "twardy" i nie wypuścił walizki z rąk — aż do wejścia do przedziału. Jakaż była jednak jego konsternacja i przerażenie, gdy na sąsiedniej stacji wszedł do przedziału stójkowy i oświadczył, że szuka — w związku z bardzo poważnym przestępstwem — walizki z ogromną sumą pieniędzy. Pasażer — zapytany, czy walizka leżąca na półce jest jego własnością — zaprzeczył. "Policjant" zabrał ją i oddał się służbowym krokiem.

* * *

Swoistą sławę i trwałe miejsce w zagranicznych kronikach kryminalnych zdobył sobie w szczególności Georges Manolescu, urodzony w 1871 r. w Ploesti w Rumunii.

Manolescu, syn wyższego oficera, wstąpił w młodości do szkoły kadetów morskich w Galazzo. Po krótkim czasie uciekł jednakże stamtąd i na parowcu udał się do Aten. Imał się różnych zajęć i wikał w najrozmaitszego rodzaju awantury. Młody chłopak potrafił zdobyć sobie względy wytwornych dam. Gdy w postrzałem w piersi, pochodzącym z jakiejś awantury, znalazł się w szpitalu, pewna wytworna dama zapytywała z trwogą o pacjenta. Jak się okazało, była to królowa Olga grecka.

W pogoni za przygodami i szerszą areną działania młody Manolescu udaje się do Paryża, gdzie wkrótce wyspecjalizował się jako znakomity znawca szlachetnych kamieni — zdobywanych w dużych ilościach za pomocą kradzieży hotelowych i różnorakich oszustw na większą skalę.

Paryski start udał się znakomicie. Wkrótce Manolescu jest właścicielem wspaniałego domu. Ma stajnię, kucharzy, kamerdynerów i innych służących. Jego konie biorą udział w wyścigach; utrzymuje bliskie stosunki z książętami krwi.

Przyjmowany jest m. in. przez księżnę d'Uzés. Na wizytówkach jego widnieje herb z koroną.

Szczęście jednak niedługo trwa. Wkrótce 19-letni zaledwie Manolescu, osiągnąwszy wyżyny powodzenia, rozpoznany zostaje przez jednego z jubilerów, którego nabrał na krociową sumę. Nie mający jeszcze doświadczenia, młody aferzysta dostaje się na cztery lata do więzienia, gdzie odbywa swoją najdłuższą karę.

Po królewskich salonach kontrast był ogromny: w dużej sali o cementowej posadzce skuci więźniowie musieli boszo, w drewniakach odbywać bez przerwy długie, wyczerpujące marsze. Wilgotna słoma jako posłanie, skąpe odżywienie i bezsenność doprowadziły więźnia do całkowitej ruiny. Wychudzony, wynędzniały i złamany wychodził z więzienia — zdawałoby się — do nikąd. Można jednak liczyć na ludzi: u bram czekała jedna z jego wiernych ukochanych. Hochsztaplerowi za-

brakło jednak chwilowo rozmachu. W opłakanym stanie udaje się z powrotem do Rumunii — z tęsknoty do domu rodzicielskiego. Regeneracja nie zabrała wiele czasu. Manolescu pojawia się wkrótce — w najlepszej londyńskiej garderobie, w towarzystwie pięknej damy — w kasynie Monte Carlo i stawia ogromne sumy; przegrywa wszystko do ostatniego grosza. Ale rozmach powrócił. Czując jednak policję na karku, Manolescu woli przenieść się na nowy teren. Podejmuje podróż do Ameryki.

Już na statku przywłaszcza sobie kolie wartości 37 tysięcy dolarów. W Halifaxie wygrywa u pijanego Amerykanina 17 tysięcy dolarów. Występuje jako książę Otranto, nabiera w Chicago bankierów na wielkie sumy. Oszustwami i kradzieżami dochodzi znowu do ogromnego majątku. Zatrzymany przez policję, legitymuje się jako markiz de Pasano, a śledzony w San Francisco przez detektywów wyprowadza w pole jednego z najlepszych spośród nich, niejakiego Williama: skierowuje uwagę detektwa na jakiegoś Anglika — rzekomo owego oszusta i złodzieja brylantów.

Po dalszych licznych przygodach "bohater" wraca do Europy. Znowu grasuje w Paryżu, w Monte Carlo, gdzie jedna z jego wielbicielek darowuje mu luksusową willę. Z kolei dokonuje dużej kradzieży brylantów, ale wskutek niedyskrecji pasera dostaje się ponownie w ręce policji. Odbywa 18-miesięczną karę pozbawienia wolności w Nimes.

Po opuszczeniu więzienia poznaje w pociągu jadącym z Riwieri francuskiej do Szwajcarii dwie eleganckie damy, którymi — jak się okazało — były: hrabina Wilding von Königsbrück i jej córka Angelika. Wiedziony swoją, niekiedy niemal niezawodną intuicją, Manolescu w wytwornej niemczyźnie zabawia damy, podając przy tym swoje rzeczywiste nazwisko i rumuńskie pochodzenie. Przedstawia się jako doktor prawa i posiadacz wielkich latyfundiów z ogromnym dochodem rocznym.

Oczarowana hrabianka w bardzo krótkim czasie wychodzi za mąż za tak znakomitego, młodego człowieka. Przez pewien czas prowadzi Manolescu "ustatkowany" tryb życia; ulega jednak swojej namiętności — gracza. Nie obchodzi się, oczywiście, w tym czasie, bez przygód. Młody arystokrata, brat kobiety, której Manolescu okazuje zbyt wiele względów, wyzywa go na pojedynek i rani go. W jakimś rytualnym uzdrowisku morskim Manolescu ratuje tonące dziecko, którego ojciec z wdzięczności daruje bohaterowi zbawcy jacht motorowy.

Tymczasem przychodzi na świat córeczka. Jednocześnie do rodziny żony zaczynają dochodzić rozmaite niepokojące wieści — opisujące Manolescu jako hochsztaplera, który oszukał arystokratyczną rodzinę. Poza tym kończą się wszelkie zasoby pieniężne. Manolescu z sumą ledwo wystarczającą na koszty podróży do Szwajcarii porzuca założone ognisko rodzinne. Talent nie opuszcza mistrza. Pierwszy nowy występ przynosi powodzenie: już w kilkanaście minut po wejściu do luksusowego hotelu Manolescu znalazł się na ulicy z dziesięcioma tysiącami franków szwajcarskich w kieszeni. Z pieniędzmi tymi postanawia wrócić do Angeliki. Nie zrealizował jednak swego chwalebego zamiaru. Los spłatał mu figla — stęskniony małżonek spóźnił się do pociągu, a na następny nie chce czekać.

W związku z nowymi oszustwami i kradzieżami Manolescu zostaje zatrzymany i — po zrobieniu policji niesłychanych awantur — osadzony w areszcie. W drodze do sklepu jubilerskiego, gdzie miała się odbyć wizja lokalna w celu ustalenia pewnych okoliczności popełnienia przestępstwa, ucieka. Dostaje się do jakiegoś domu, wbiega na piątę piętro i przez mansardę wydostaje się na dach. Nieszczęśliwym trafem wpada — w czasie ucieczki — do beczki z cementem i zostaje zla-



W STARYM KRAJU — W STARYM KRAJU —

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Skończyła się kanikuła. Tropikalne upały przestały gnębić ludzi. Temperatura w końcu sierpnia spadła do 20 st. C. Deszcze poprawiły cokolwiek stan okopowych, zwłaszcza zaś buraków cukrowych. Trudno jeszcze w tej chwili mówić o przewidywanym urodzaju, ale w każdym razie duże tegoroczne nasłonecznienie wpłynęło na zwiększenie zawartości cukru w burakach, co powinno w pewnym stopniu wyrównać straty spowodowane brakiem wilgoci w glebie.

Zniwa są już na ukończeniu. Na początku września tylko jeszcze w województwach północnych pozostało do skoszenia zboże jare. Rozpoczął się akt drugi kampanii żniwnej — omloty. One dopiero dadzą obraz tegorocznego urodzaju.

Zdecydowanie smutne są natomiast perspektywy jeżeli chodzi o urodzaj owoców. Wiele drzew i krzewów owocowych nadwreżonych przez mrozy, a następnie przez suchą zimą. Szczególnie duże straty zanotowano w drzewostanie grusz, (ok. 27%).

Jabłek będzie w tym roku nieco więcej, niż przed rokiem, ale nie można liczyć na t. zw.

rok jabłkowy. Gruszek pojawi się na rynku bardzo mało, tak samo zresztą jak i renklod. Korzystniej przetrwały zimę i znojne lato śliwki-węgierki.

Tegoroczne upały i długotrwały brak deszczu sprawiły, że przez całą Polskę przeciąga nienotowana od lat fala pożarów. W lipcu każdego dnia wybuchało przeciętnie 150 pożarów, a w pierwszych dniach sierpnia ok. 250. Spłonęło kilkadziesiąt tysięcy hektarów lasu, mnóstwo budynków mieszkalnych i gospodarczych.

Jedyną wiadomością pocieszącą: ospa ustępuje. Od 15 lipca liczba osób podejrzanych o zachorowanie na ospę wyniosła na obszarze Polski 130 osób. W 15 wypadkach podejrzania te nie potwierdziły się. Najwięcej chorych i podejrzanych o zachorowanie znajdowało się w dn. 15 sierpnia w szpitalu pod Wrocławiem (97 osób). W szpitalach woj. opolskiego znajdowało się 9 osób, łódzkiego — 5 i gdańskiego 1 osoba. Od 27 lipca nie zanotowano ani jednego wypadku zachorowania, który nie pochodziłby z grona osób izolowanych.

(as)

pany. Areszt i mistrzowsko odegrana symulacja choroby psychicznej. Zjawia się Angelika, która tłumaczy sobie zachowanie się wciąż "szlachetnie urodzonego" męża przejawami kleptomanii. Odnosi się do niego z wielką czułością — zresztą odpłaconą wzajemnością. W wyniku badań psychiatrycznych uznają go za człowieka anormalnego. "Obłąkany maniak" zamienia proces w całkowitą farsę. Wypuszczony — po krótkim czasie — na wolność udaje się ponownie do Ameryki, do Filadelfii, gdzie ma pewne porachunki z paserem, który go kiedyś wydał w ręce policji. Za pomocą opiumowanego cygara oszalał niesolidnego kumpla i opróżnia całą jego kasę.

Wkrótce potem zjawia się ponownie w Paryżu jako boloński książę Lahovary. Nawiązuje flirt z córką amerykańskiego fabrykanta, z namiętnością oddaje się grze hazardowej w Spa, a następnie wędruje do Berlina — z sekretarzem i z kamerdynerem odzianym w czerwony frak i czarne hajdawery. Znowu zdobywa krocie, tym razem w brylantach. Obraca się w najwyższych sferach, biorąc udział nawet w bankietach na dworze cesarskim. Któremuś z niezażoconych swoich towarzyszy hulastwów eskapad ofiaruje z "dobrego serca" brylant. To ściągnęło przypadkowo podejrzania policji. Nieszczęścia idą w parze: jednocześnie kobieta, z którą nawiązał flirt, zazdrosna o rywale, informuje policję o niektórych sprawkach "księcia". Aresztowany, zostaje uznany przez sąd za chorego psychicznie i uniewinniony. Wkrótce udaje mu się opuścić zakład dla psychicznie chorych. Ponownie aresztowany — za nowe, liczne sprawki — dostaje się na bardzo krótki czas do wiedeńskiego aresztu.

Kolejna trasa prowadzi do Konstantynopola, a następnie do Paryża, gdzie nawiązuje swoje dawniejsze przyjaźnie i zdobywa znowu znaczną fortunę. Jak zwykle roztrwania i traci cały swój majątek. Ogołocony ze wszystkiego udaje się do Ameryki. W skróconym czasie odbywa staż niektórych dawniejszych milionerów amerykańskich: od czyściciela samochodów poprzez "wykrzykiwacza" rekla-

mującego "kwiecień" atrakcje indiańskiej budy w Saint-Louis, dziennikarza w Buffalo i kopacza złota w San Francisco. Znowu fortuna "uśmiechnęła się" — a raczej została zniewolona przez niezwykle utalentowanego hochsztaplera. "Zapomniawszy" o swoim pierwszym małżeństwie, wstępuje w nowe z paryską milionerką, niejaką Pauliną Pollet.

W idylli, bez awantur, ustatkowany aferzysta i złodziej żyje przez wiele lat w Mediolanie. Jako spokojny obywatel umiera tam po operacji w 1908 r. przeżywszy zaledwie 37 lat. Do kroniki przeszedł jako typ wyjątkowo, chociaż bardzo "swoiście" uzdolnionego (aby nie powtarzać określenia "genialnego") psychopaty. Jakże pożyteczny społecznie mógłby się okazać, gdyby swoje wielkie talenty oddał lepszej sprawie. A dotyczy to chyba nie tylko tego genialnego hochsztaplera i oszusta!

P. H.

("Prawo i Życie")

Nowość! ===== Nowość!

Ci, którzy spędzili młodość w Polsce, — znajdą wspomnienia najlepszych dni życia
Ci, którzy opuścili kraj w 1939 roku, — powrócą na dobrze znaną im drogę,
Ci, którzy znaleźli się w Brazylii, — odnajdą — siebie.

W zbiorze opowiadań

Henryka Przyborskiego p. t.:

"RAPORT KARNY"

który ukaże się nakładem "Londyńskiej Biblioteki Literackiej" Bolesława Świdorskiego jako jej Tom XXXVI.

Książka liczyć będzie około 300 stron druku. Cena w przedpłacie Ł. 1. 4. 6 lub \$ 3. 0. 0.

Przeplatę w Brazylii przyjmują:

Red. Seweryn Hartman, — "Przegląd Polski" - Caixa Postal 4530 - São Paulo.

Feliks Rokicki, — Rua Rep. de Peru 305, apt. 18 - Rio de Janeiro.

Janusz Orlich, — Móveis Cimo, Caixa Postal 13 — Curitiba - Paraná.

Nazwiska osób które zamówiły książkę, będą podane do wiadomości za pośrednictwem naszej Prasy.

Nowość! ===== Nowość!

TAJEMNICA ZĄBKOWICKIEGO ZAMKU

Amerykańscy producenci filmowi zwrócili się przed kilkoma miesiącami zapytaniem, czy zamek w Ząbkowicach Śląskich jeszcze istnieje? Czy mógłby służyć za autentyczne tło dla filmu "Zdreszczykiem"? Skąd to zainteresowanie Ząbkowiczami?

Otóż ząbkowicka legenda mówi, że na przełomie XVI i XVII w. w jednej z zamkowych komnat, zamienionych na pracownię alchemiczną, uczony Frankenstein powołał do życia sztucznego człowieka o potwornej powierzchowności i że stąd wyruszał on na swe złowieszcze wyprawy

Ale zacznijmy od początku. Zacznijmy, jak w bajce dla grzecznych dzieci: za górami, za rzekami... Zbudowany w XIII w. ząbkowicki zamek leży wśród skał Gór Złotostockich i nieopodal Srebrnej Góry, które dostarczały ongiś, przed wiekami, szlachetnego kruszcza — złota i srebra. U stóp zamczyska szemrze po kamieniach rzeczka Budnówka, dopływ Nysy Kłodzkiej. Nurt jej jest leniwy, powolny. Kiedyś, przed setkami lat, gdy osiedlił się tu Bolko II, książę ziembicki, nurt Budnówki był bardziej porywisty i rzeczka spełniała nawet rolę obronną, utrudniając dostęp do Ząbkowic. W roku 1522 Karol z Podiebrad, ożeniwszy się z Piastówną, księżną Anną Zagańską — stary piastowski zamek przebudował w stylu renesansowym, ujmując go w plan kwadratu z arkadowym dziedzińcem. Rezydowała tu księżna Anna przez szereg lat już po śmierci męża.

Dziś masyw zamkowych ruin góruje nad okolicą. Z dała widoczne są szczątki wieży wjazdowej, mającej jako zwieńczenie motyw polskiej attyki. Dostrzec tu można szlachetne formy renesansowe przy obramieniu okien zamkowych. Ale między okresem piastowskiej świetności, a ruiną, w jaką zamek zamienił się w czasie wojny Trzydziestoletniej, był on tak przynajmniej głosi legenda — scenę wydarzeń dziwnych i strasznych. Wiązały się one ze sztucznym człowie-

kiem, który nie mając własnego imienia, przyjął nazwisko swego twórcy.

Niemal w więziennym odosobnieniu, wychudły i wybladły od wyczerpującej pracy, uczony tworzył ludzką istotę. Aby nie opóźniać tempa pracy, w czym przeszkadzałyby liczne drobnostki części organizmu, postanowił stworzyć istotę o gigantycznej postaci, posiadającą około 8 stóp wzrostu. Za materiał służyła mu glina, kości zbierane po kostnicach i cmentarzach. Niejedne z nich pochodziły, ponoć, z sekcji zwłok.

Wreszcie sztuczny człowiek ożył. Uczony wybrał mu rysy twarzy, które miały być piękne. Tymczasem żółtawa skóra ledwo przykrywała przechodzące pod nią arterie i pasy włóknistych mięśni. Włosy były czarne, a zęby białe jak perły, ale ten przepych tworzył tylko jeszcze bardziej potworny kontrast z wodnistymi oczami, które były niemal tej samej barwy, co brudno białe orbity, w których były osadzone, oraz z jego pomarszczoną skórą i prostymi sinymi ustami.

Straszdyło to miało głęboką potrzebę przyjaźni, ale ludzie przerażeni jego wyglądem uciekali od niego, odwracali się odeń ze wstrętem. Odepchnięty — zaczął się mścić...

Najstraszliwiej zaś zemścił się na swym twórcy, zabijając wszystkich tych, których uczony kochał. Stał się w ten sposób legendarny Frankenstein jakby symbolem wykorzystywanej lekkomyślnie wiedzy, prowadzącej do nieuchronnej zagłady.

W okresie międzywojennym, gdy Hollywood lansował cykl filmów fantastycznych, budzących grozę — nakręcono również i film pt. "Frankenstein" z angielskim aktorem, Borisem Karloffem w roli głównej.

Obecnie amerykańscy producenci mają ochotę nakręcić nową wersję "Frankensteina" — być może w Ząbkowicach, w autentycznej scenerii.

szosie w pobliżu wioski oraz okolicznych polach, powstały głębokie szczeliny długości ok. 200 m i szerokie na kilka centymetrów. Wydostaje się z nich gaz ziemny, który łatwo się zapala. Na zagrożonym odcinku wstrzymany został ruch kołowy. Próby zabetonowania szczelin nie dają rezultatu, gdyż gaz wydostaje się nadal i szosa pęka w innych miejscach. Stwierdzono, że szczeliny powstają na skutek ruchów tektonicznych, a w ich zasięgu znajdują się Przemyśl oraz wioski Żurawica i Ujkowice.

Głuszcze i daniela na Rzeszowszczyźnie. Mimo znacznych strat spowodowanych przez ostrą zimę, w lasach należących do nadleśnictwa Ruda Rozaniecka w woj. rzeszowskim żyje dużo głuszców. Wśród zwierzyny szczególnie troskliwością cieszy się tam już doskonale zaaklimatyzowane stado danieli w liczbie ponad 40 sztuk.

Tragiczne skutki lekkomyślności. Tragiczny wypadek wydarzył się we Wrocławiu. Kilkunastu chłopców w wieku od 9 do 19 lat na placu zabaw przy ul. Borowskiej wykopało skrzynkę z amunicją. Nastąpił straszny wybuch, który słyhać było w całym mieście. 8 chłopców poniosło śmierć na miejscu, 4 pozostałych przewieziono w bardzo ciężkim stanie do szpitala z których 2 zmarło. Specjalna komisja powołana dla zbadania przyczyn wypadku w którym zginęło 10 dzieci stwierdziła, że tragedię spowodowała eksplozja miny tzw. ryglowej, rzadko dotąd spotykanej i bardzo niebezpiecznej. Jedna taka mina zawiera ponad 5 kg materiałów wybuchowych. Dzieci spowodowały eksplozję trzech takich min — pozostałości po ostatniej wojnie. W sumie więc eksplodowało ponad 16 kg materiału wybuchowego.

Mahometańskie humory. Z niemalym zdziwieniem odebrano w radomskich zakładach wytwórczych aparatury teletechnicznej przesyłkę z aparatami telefonicznymi, wysłaną niedawno do Turcji. W ślad nadszedł uprzejmy list z prośbą o wymianę w instalacji wewnętrznej aparatów kabli. Zielonych, na innego koloru.

Okazało się, że kolor zielony jest w Turcji uważany za święty i z tego powodu cieszy się specjalnym szacunkiem. Nie wolno go więc używać do żadnych pospolitych celów. Naturalnie życzeniu Turków stało się zadość i zielone kable wymieniono na brązowe.

Dowcip z fuzlem. — Dowcip ze "Słowa Powszechnego": "Późną nocą wraca ludożerca do domu, żona mówi — Chuchnij! Ludożerca chucha, a żona woła: — Co? Znowu jadłeś Polaka?"

PRZEGLĄD POLSKI INFORMUJE:

Jak wygląda Polak? Zakład Antropologii PAN we Wrocławiu pracuje obecnie nad mapą antropologiczną Europy i świata. Całe to wielkie i ciekawe przedsięwzięcie wykonane zostanie w ciągu 15 lat. Mapa taka ma na celu wyjaśnienie procesu powstawania ludów (etnogenezy) w czasach obecnych. Zakończono prace nad mapą Polski. Na podstawie 72 pomiarów wykonanych na każdej spośród zbadanych 150 tys. osób dowiedziano, że Polacy posiadają najwięcej cech laponoidalnych i nordycznych. Cechy te równoważą się. Następnym składnikiem antropologicznym występującym u Polaków jest składnik śródziemnomorski, a w najmniejszym stopniu (ok. 3 proc.) składnik paleuropeidalny. Dominujący w Polsce element laponoidalny charakteryzuje się niskim wzrostem, krępa budową ciała, okrągłą budową głowy, szeroką twarzą i szerokim nosem, ciemnymi piwnymi oczami i czarnymi włosami. Występujące na drugim miejscu typy nordyczne odznaczają się natomiast wysokim wzrostem, podługim kształtem głowy, wysoką twarzą i wąskim nosem, jasnoniebieskimi oczami oraz blond włosami. Na północy Polski składnik nordyczny przeważa nad laponoidalnym, na południu kraju — odwrotnie. Centrum Polski jest terenem równowagi tych wpływów. Na Śląsku Górnym i Opolskim dominuje nieznacznie element laponoidalny nad nordycznym,

a na Kujawach, w Kutnowskim i Łowickim niespodziewanie na drugim miejscu — po składniku nordycznym — znajduje się śródziemnomorski.

Polski palnik plazmowy. W Gliwickim Instytucie Spawalnictwa skonstruowano znakomity palnik plazmowy, który w temperaturze dochodzącej do 30 tys. st. C. tnie z wielką szybkością wysokogatunkową stal, żeliwo oraz metale kolorowe.

Pierwszy egzemplarz plazmowego palnika został już z b. dobrym rezultatem wypróbowany w zakładach budowy urządzeń chemicznych w Wyrach, a obecnie przechodzi dalsze próby w zakładach urządzeń przemysłowych w Nysie. Jeden z zakładów maszynowych podjąć ma w przyszłym roku seryjną produkcję palników plazmowych. Koszt budowy jednego palnika plazmowego nie przekracza 100 tys. zł.

Podobne palniki skonstruowano poza Polską jedynie w ZSRR i St. Zjednoczonych. Według licencji amerykańskiej produkują je niektóre kraje europejskie. W takich krajach jak Anglia i Szwecja nie zdołano dotychczas wyjść poza próby laboratoryjne.

Ruchy tektoniczne na Podkarpaciu. Mieszkańcy wsi Żurawica koło Przemyśla są ostatnio świadkami niezwyklego zjawiska. Na

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

Prenumerując "Jednodniówkę" nie płacisz w dolarach. Wystarczy, że przysyłasz używane znaczki pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy kierować pod adresem:

B. A. Zaremba, 6481 E. Florence ave
BELL GARDENS, Cal. U. S. A.



NA NASZYM PODWÓRKU—NA NASZYM PODWÓRKU

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

... W SÃO PAULO:

Halina Sionicka dała jeszcze jeden koncert w São Paulo tym razem w Centro Cultural na Bom Retiro. Sala teatralna była wypełniona po brzegi. Artystka doskonale dysponowana spotkała się z nadzwyczaj ciepłym przyjęciem u publiczności.

W São Paulo bawił odkrywca szczepionki przeciw paraliżowi dziecięcemu, światowej sławy uczony prof. Sabin.

Jak się okazuje prof. Sabin urodził się w Polsce i doskonale włada językiem polskim, żywi wiele sympatii dla naszego kraju i twierdzi, że jest z nim związany uczuciowo.

... W KURYTYBIE:

Na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Parańskiego wykładany jest od niedawna język polski. Wykłady prowadzi ks. dr Jan Zelezny.

Polska Grupa Folkloru przy Towarzystwie União Juventus w Kurytybie występowała z dużym powodzeniem w Guajuvira, miejscowości zamieszkałej w 98% przez Polaków. Publiczności zebrało się ponad pół tysiąca. Brawom i oklaskom nie było końca.

Na występie w innej miejscowości, Lapa, popisom zespołu przyglądali się gubernator Ney Braga i prefekci oraz sekretarze stanu, nie szczędząc słów uznania zarówno dla artystów jak i dla kierownictwa artystycznego zespołu.

W kolonii Dom Pedro staraniem ks. Tadeusza Kołodziejczyka i komitetu organizacyjnego pod przewodnictwem Wincentego Nalepy odbyła się wystawa ziemniaków, na której zgromadzono wspaniałe okazy tych ziemio-plodów. Zaznaczyć należy, że kolonia Dom Pedro produkuje rocznie ok. 700 tys. worków kartofli.

Pierwszą nagrodę uzyskał zasłużenie Józef



Ks. Tadeusz Kołodziejczyk

Łukasiński. Następne miejsca zajęli: 2. Ludwik Krzyżanowski, 3. Ludwik Sychta, 4. Ludwik Kmieć, 5. Alojzy Dombrowski, 6. Piotr Wałęga, 7. Stanisław Belinowski, 8. Florian Lalik, 9. Jan Hajduk i 10. Alojzy Górski.

W czasie wystawy odbyły się występy grupy dziecięcej folkloru "Dom Pedro". Występy te cieszyły się ogromnym powodzeniem u zebranej publiczności. Ks. Tadeusz Kołodziejczyk, twórca i kierownik zespołu może sobie pozwolić na doskonałe wyniki swej pracy.

(br)

NASZA MŁODZIEŻ

Zostałam zaproszona na niedzielny obiad do znajomych u których, choć z rzadka, słyszy się mowę polską i widzi młodzież o typie przeważnie słowiańskim.

Rozmowa przy stole prowadzona była w dwóch językach w sposób bardzo oryginalny. Gdyby ktoś kto świeżo przyjechał z Polski słyszał tę rozmowę ręczę, że na razie nic by nie zrozumiał. Gospodarze rozmawiali ze sobą po polsku, ale do swoich dzieci bez różnicy wieku mówili po portugalsku.

Niedalekim moim sąsiadem był młody człowiek o wrodzonej elegancji i bardzo polskim wyglądem. Był przystojny, doskonale zbudowany. Miał szare oczy w ciemnej oprawie, czarne brwi, rasowy cienki nos, złote blond włosy, ściągnął twarz. Raził w nim tylko wyraz ust, trochę wzgardliwy i także nieraz odnoszenie się do niektórych osób. Na palcu dużej, ale kształtnej ręki — sygnet doktorski.

Ten młody człowiek zawsze mnie denerwował swoją wzgardą w stosunku do języka polskiego. Grzech mój ciężki: lubiłam go nieraz podenerwować, aby wywołać dyskusję, ale zazwyczaj mogłam się tylko doczekać niezbyt grzecznej odpowiedzi.

Teraz patrząc na jego kształtną, męską rękę i przypominając sobie, że ma skończo-

ne mimo młodego wieku trzy fakultety, powiedziałam po polsku:

— Ciekawa jestem, panie Waldimirze, dlaczego będąc potomkiem rodziców urodzonych w Polsce i władając dość płynnie językiem polskim nie lubi pan mówić po polsku. Każdy cywilizowany człowiek powinien władać przynajmniej dwoma językami. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

Popatrzył na mnie uważnie. Ściągnęły mu się ciemne, gęste brwi nad pięknymi oczami i burknął gniewnie po swojemu:

— Myli się pani. Jestem Brazylijczykiem, nie znam tej waszej Polski i nie wybieram się jej oglądać. Potrzebny mi jest tylko język portugalski, ten mi w Brazylii wystarczy.

W tej chwili Waldimiro mimo trzech dyplomów i rasowej, słowiańskiej urody wydał mi się ignorantem. Nie podobna z nim dyskutować. Lubi widać czytać revistinha z romansikami em quadrinhos.

Opinia o nim jest podzielona. Jedni mówią, że ma charakter uczciwy i wartościowy, a inni, że jest egoista, nieużyty, niedelikatny, wybuchowy, szorstki itd. Uważam jednak, że są to tylko niedociągnięcia w wychowaniu. Wciągnęłabym go do sportów, o-toczyła koleżeńskim, cywilizowanym otocze-

niem, przyuczyła do dyskusji, wdrożyła do krytyki tego co czyta.

W otoczeniu ma wszystko, co nadaje polor i kulturę człowiekowi a jednak brak mu jakiejś iskry, czegoś co być może sam nieświadomie odczuwa.

Sądzę, że "nowoczesność" skuwa dusze naszej młodzieży tak, iż niektórzy gubią przy tym swoją naturę, swoją osobowość. Wielu wymogów kultury nie chcą zrozumieć; żyją życiem powierzchownym, odrzucając jako niepotrzebny balast to co jest głębsze myślowo i duchowo.

Jaką będzie przyszłość naszej grupy etnicznej skoro młodzi wyzbywają się rasy, narodowości i języka w ciągu nawet nie stu lat istnienia wychodźstwa polskiego w Brazylii?

Helena Werpachowska

WIADOMOŚCI Z TOWARZYSTWA UNIÃO JUVENTUS

Zespół Pieśni i Tańca występuje na rzecz pogorzalców. Pragnąc przyjąć z pomocą osobom, które wskutek mrozu, suszy lub pożaru straciły swój dobytek Grupa Folkloru przy Tow. União Juventus postanowiła zorganizować występ na rzecz tych osób.

Idea ta znalazła szeroki oddźwięk w społeczeństwie parańskim i zyskała Zespołowi sympatię wśród publiczności.

Cały dochód z występu w kwocie Cr\$ 154.100,00 zostanie przekazany na pomoc pogorzalców.

Budowa ośrodka wypoczynkowego. Jak się dowiadujemy opracowany już został plan robót przy budowie ośrodka wypoczynkowego Towarzystwa. Plan ten przewiduje budowę salonów przyjęć, pomieszczeń sportowych, boisk siatkówki i koszykówki, kortów tenisowych i boiska piłki nożnej, urządzeń rozrywkowych, basenów kąpielowych, restauracji itp.

Plan wymagać będzie jeszcze dodatkowych studiów, ponieważ pociągnie za sobą duże koszty. Młoda generacja pragnie przez budowę ośrodka wykazać jak ceni pracę starszej generacji, która zorganizowała Towarzystwo.

Zarząd zwraca się do wszystkich członków Towarzystwa lepiej sytuowanych finansowo, aby dopomogli przy realizacji tej inwestycji.

Ulgi dla młodzieży. Biorąc pod uwagę sytuację materialną młodzieży pochodzenia polskiego i pragnąc tę młodzież wciągnąć w życie organizacyjne zarząd Towarzystwa obniżył składkę członkowską dla młodzieży niezarobkującej do połowy, zwalniając ją jednocześnie od obowiązku wpłacania wpisowego (jója).

Młodzież studiująca, której rodzice mieszkają na prowincji, proszona jest o branie udziału w życiu społecznym i kulturalnym Towarzystwa bez obowiązku wstępowania w jego szeregi.

Bramy Towarzystwa są otwarte dla wszystkich rodaków. Aż do końca br. na podstawie uchwały Zarządu obowiązują następujące ulgi dla nowowstępujących do Towarzystwa przy opłacaniu wpisowego (jója).

Kwota Cr\$ 25.000,00, która powinna być wpłacona, podlega rozłożeniu na raty. Nowowstępujący członek wpłaca zaliczkę w wysokości Cr\$ 3.000,00. Resztę należności rozkłada mu się na 11 rat po Cr\$ 2.000,00 miesięcznie.

Zarząd ma nadzieję, że ulgi te spowodują masowy dopływ nowych członków do największego Towarzystwa w Ameryce Łacińskiej.

Bal debutantek. Bal debutantek, który ma się odbyć w październiku br., wzbudził ogromne zainteresowanie zarówno wśród zainteresowanych dziewcząt, jak i ich rodziców. Bal zapowiada się jako niezwykle ewenement w życiu polonijnym.

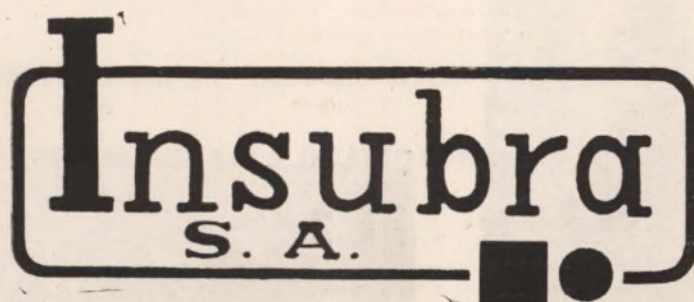
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAF — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

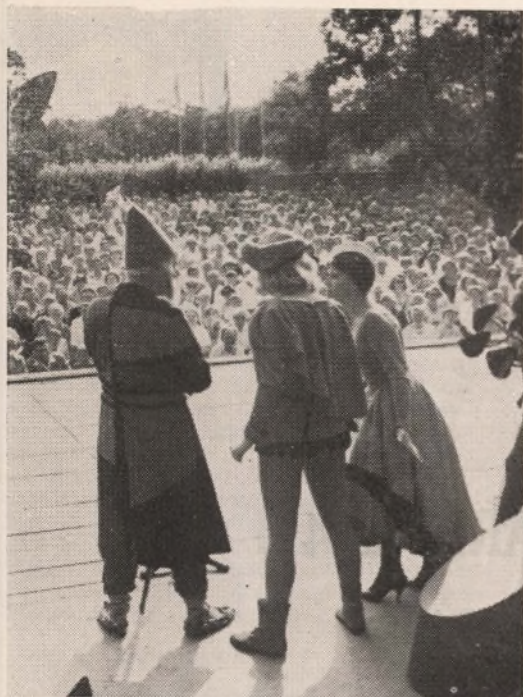
POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.



*Sztuka Szekspira: "Jak wam się podoba" na
otwartej scenie w parku na Bielanych
w Warszawie.*



Kawiarnia harcerska w obozie gnieźnieńskim.



*W Tatrach. Schronisko "Murowaniec" na
hali Gąsienicowej.*



*Świeradów Zdrój należy do najpiękniejszych
miejscowości w kraju. Na zdjęciu: Na ba-
senie w Świeradowie.*

FABRASA S/A

FÁBRICA BRASILEIRA DE LÂMINAS

SÃO PAULO

Avenida Francisco Matarazzo, 718

FONE: 62-0673

FABRICANTES EXCLUSIVOS DAS AFAMADAS LÂMINAS DE BARBEAR JOHNSON & JOHNSON

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS, ETC., EM TODAS AS ESPESSURAS E
DUREZAS — MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA TODOS OS FINS.

LAMINAÇÃO DE METAIS

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS: — RUA QUIRINO DE ANDRADE, 219,

CONJUNTO 74 — TELEFONE: 33-4936

Tricot-lã

sweater
original

